Cena 7 zł.

# DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II | Warszawa 20 styczeń 1946 | Nr. 3 (9)



*Bolesław Piasecki*

# KIERUNKI

## I

Każda wielka dziejowa rewolucja wybiera sobie za heroldów ludzi brutalnych i bezwzględnych. Idee i tendencje nowych czasów szukają sił żywotnych, pełnych energii. Każdy, kto nie ma woli zdobywczego czynu, pozostaje poza twórczością historyczną.

Nie tylko w Polsce, ale w całej Europie istnieje cały szereg środowisk całkowicie zniechęconych do rzeczywistości. Ludzie ci żyją pod sztandarem obrzydzenia. Przyznają oni, że, być może, znajdują się w okresie podobnym do czasów, w których barbarzyńcy zdobyli Rzym. Tym niemniej środowiska te są zdecydowane pozostać poza biegiem dziejów, ponieważ nie odpowiada im styl powstawania nowej epoki. Nie do zniesienia jest dla tych ludzi konieczność stykania się z bezwzględnością, upraszczaniem, brakiem subtelności, niedorowzojem wrażliwości. Wyjściem wybranym przez ten typ ludzi jest świadome usunięcie się poza nawias historii. Nadzieją? Nadzieją jest mądry sceptycyzm. Wprawdzie barbarzyńcy zdobyli Rzym, ale zostali rozłożeni przez zdegenerowanych Rzymian. Kultura starego świata jest dość mocna, obdarzona nieodpartym urokiem, by wykończyć współczesnych rewolucjonistów po zwycięstwie rewolucji.

Powyższą postawę duchową wydobywamy ze współczesności, gdyż świadomie lub nieświadomie występuje ona u wielu. Zajmujemy się zaś tą postawą po to, by ją zdecydowanie potępić.

Fałszem jest bowiem powiedzenie, że jakieś zjawisko jest za silne, za mocne, aby mogło być piękne. Rewolucja może być tylko wielką i potężną, a nie być ani dobrą, ani piękną. W każdą jednak rewolucję można wszczepić piękno i każdą można uczynić sługą dobra. Prawdziwa rewolucja jest chłonna. Rewolucjoniści chcą żyć inaczej, ale chcą żyć. A przecież rewolucja rodzi się na gruzach, gdzie żyć tak trudno. Jeśli więc jakikolwiek człowiek, jakiekolwiek środowisko ma w sobie dobro, czy piękno, niech je daje. Wszak jest to najwspanialsza gra uczynić rozpędzoną, dziką rewolucję sługą lepszego społecznego wcielenia wiecznego piękna i dobra.

Nie wychodzi się za tym ze współczesnej historii dlatego, że się kocha piękno, ale dlatego, że się nie ma siły do prawdziwego ukochania piękna i dobra. Nie walczy się tylko wtedy, gdy przeczuwane znużenie walką jest bardziej dotkliwe, niż przegrana, a zatym, gdy nie ma o co walczyć.

Potępić też trzeba postawę wyczekiwania na rozkład potęgi rewolucji przez jej zetknięcie się z dotychczasową kulturą. Upadający Rzym rozłożył swych barbarzyńskich zdobywców. Byli to jednak barbarzyńcy, a nie rewolucjoniści. Każda rewolucja ma swych barbarzyńców i każda zna środek na ich bratanie się ze starym porządkiem. Środkiem tym jest zniszczenie kultury, powodującej rozkład wraz z tymi rewolucjonistami, którzy się mu poddali.

Trzeba też pamiętać, że tylko twórcze przeżywanie rewolucji umożliwia zaszczepienie w nią własnego rozumienia wiecznego piękna i dobra. Inni bowiem rewolucjoniści też dążą do realizacji swego odczucia dobra i piękna. Należy zatem w ścieraniu się idei w obozie nowego świata zwyciężyć.

* * *

Wszyscy patrzący na życie ideowo-polityczne w kraju, odnoszą zgodne wrażenie: pomieszanie pojęć. Warto jednak stwierdzić, że przyczyny tego chaosu tkwią nietyle w zachodzących zjawiskach politycznych, co w postawie psychicznej zastanawiającego się nad swym życiem społeczeństwa polskiego. Patrzymy bowiem na obecną rzeczywistość jednocześnie oczyma przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Stąd zamiast jasnego obrazu, widzimy pomieszanie faktów z naszymi przeżyciami.

W rzeczywistości polskiej, rozpatrywanej z punktu widzenia niedawnej przeszłości, wyróżnić można następujące czynniki. Jeden z nich stanowi obóz Polski Podziemnej, związanej z rządem londyńskim. Wielkie to środowisko przeżywa kryzys, wynikający z niepowiązania jego wysiłków i walki ze sposobem powstania nowej rzeczywistości. Dalszym czynnikiem historycznym obecnej rzeczywistości są środowiska, które przez przemiany społeczne zostały pozbawione materialnej i socjalnej pozycji. Środowiska te szukają nie tylko fizycznej, ale i psychicznej możliwości życia we współczesnej Polsce. Ostatnim wreszcie czynnikiem historycznym współczesności jest obóz twórców manifestu PKWN, który ma trudności w zrozumieniu bądź wartości, bądź rodzaju przeżyć obu poprzednio wymienionych grup.

Obraz polityczny Polski obecnej. widziany z punktu widzenia teraźniejszości, sprowadza się do trzech elementów. Jest obóz rządowy i grupy pragnące pozytywnie pracować w kraju. Założeniem ich jest niewiara w wojnę i głoszenie potrzeby pokoju. Drugim elementem jest konspiracja, założeniem jej jest rachuba na bliski konflikt zbrojny. Ostatnim wreszcie czynnikiem jest emigracja, która czeka na powrót do kraju. Bieg wypadków wzmacnia żywotność działania jawnego, usuwając psychiczne warunki konspiracji. Emigracja przestaje być zapleczem życia wewnętrznego kraju.

Polityczna współczesność polska, rysowana z punktu widzenia przyszłości, daje dwa odłamy: zwolenników starego porządku i obóz rewolucji. W obozie rewolucji biegnie jednak linia podziału pomiędzy myślą mterialistyczną i myślą spirytualistyczną. Powtarzamy raz jeszcze: sytuacja polityczna w Polsce nie jest wcale tak zagmatwana, komplikacje tkwią w psychice. Przekonaniem naszym jest, że należy rozpatrywać przeszłość i teraźniejszość Polski przede wszystkim dla właściwego rozwiązania przyszłości.

O ile istnienie dwubiegunowego obozu rewolucji w Polsce ma być faktem nie tylko ideowym, ale i politycnym, musi wewnątrz niego istnieć zaufanie. Różnice, dzielące odłamy polskiej rewolucji, są natomiast faktem, a zaufanie jest zadaniem. Materialiści wątpią w społeczną szczerość rewolucyjności spirytualistów, odłam zaś spirytualistyczny nie wierzy dostatecznie w szczerość postawy politycznej kierunku materialistycznego. Aby zlikwidować brak zaufania, nie wystarczy mieć za sobą słuszność dowodu, trzeba jeszcze chcieć uczynić go zrozumiałym dla partnerów. Na tym polega zadanie.

Jeśli chodzi o polską rewolucję, wychodzącą z założeń światopoglądu spirytualistycznego, to niewątpliwie podstawę jej społecznego zasięgu stanowi środowisko radykalnych społecznie katolików. Jest to formacja bez wyraźnego odpowiednika w dawnych ugrupowaniach politycznych, przenikająca natomiast je wszystkie. Istotą tego ruchu jest żywotność, organiczność. Ludzie, wyciągający nowoczesne, rewolucyjne konsekwencje z doktryny społecznej katolicyzmu, wystarczaliby dla wypełnienia treści spirytualistycznego odłamu walki o nowy porządek.

Trzeba jednak stwierdzić, że ludzie wywodzący się ze środowisk nacjonalistycznych, są w dużej części potencjalnymi zwolennikami rewolucji w ujęciu spirytualistycznym. Grupa ta, nie istniejąc jako partia polityczna, trwa dalej jako formacja psychiczna Niewątpliwie niektóre jej koła niewiele mają wspólnego z walką o rewolucyjną przebudowę. Tym niemniej jest to w dużej części żywa siła społeczna, która odegra rolę w życiu publicznym. Rola ta będzie tylko wtedy twórczą, jeśli wykazawszy się niezbędną dojrzałością społeczno - rewolucyjną, ludzie pochodzący ze środowisk nacjonalistycznych, znajdą możliwość konstruktywnej pracy. Warto tu jest wyrazić ogólny pogląd na obecną rolę nacjonalizmu. Wraz z klęską hitleryzmu wszystko to, co było w ruchach narodowych nienawiścią rasową, megalomanią plemienną, znalazło swe historyczne i ostateczne potępienie. Odważnie jednak stwierdzić należy, że idea narodowa przezwyciężyła barykadę podziału na lewicę i prawicę i uczyniła partie klasowe partiami narodu.

Istotnym także, a wynikającym z siły przeżyć, elementem rewolucyjnym ruchu spirytualistycznego są kadry bojowców Polski Podziemnej. Obcowanie ze śmiercią i ofiarą kolegów związało wielu ludzi walki z myślą religijną na całe życie. Sama zaś czynna walka, formując typ bojowca, nastawia go na rozwiązania ostateczne i rewolucyjne.

Istnieje zamęt wokół pojęcia niepodległości. Jedni twierdzą, że ją posiadamy, inni, że ją osiągniemy, inni jeszcze, że stracimy. Wszyscy zaś zgadzają się na to, że pojęcie niepodległości ma teraz inny sens, niż miało. Sądzimy, że warto ustalić jaki. Odrzucamy stanowczo podział na suwerenność wewnętrzną i zewnętrzną. Niepodległość, jak moralność, jest jedna. Niepodległością jest realizowanie celu istnienia narodu. Cele te są historycznie zmienne. Istotnym jest zatym ustalenie takiego celu dla Polski współczesnej. Jest nim zaszczepienie polskiej idei w treść obecnej światowej rewolucji. Można tu przekornie powiedzieć, że znajdujemy się w dobrym położeniu geograficznym. W epoce powstawania organizacji narodów zjednoczonych wielkość i suwerenność gospodarczych i polityeznych granic Rzeczypospolitej będzie funkcją jej promieniowania ideowo moralnego na powstające środowisko organizujących się razem narodów.

Wydaje się, że dosyć już powiedziano o naszych koniecznościach polityki międzynarodowej. Powtarza się ten temat stale zarówno w mowach oficjalnych, deklaracjach politycznych, jak w propagandzie szeptanej. Obserwacja jednak procesów naszego konkretnego współżycia z wielkimi mocarstwami stwarza konieczność podkreślenia aktualizujących się momentów.

I tak w stosunku do Anglosasów istnieje potrzeba stwierdzenia elastyczności naszego przyszłego współżycia z nimi. Polska może się do Anglosasów zbliżać i może się od nich oddalać. Proces ten będzie funkcją wartości współdziałania narodów anglosaskich z narodem polskim i ceny, którą za to należy uiścić.

Odnośnie stosunków ze Związkiem Radzieckim widzimy konieczność wprowadzenia nowego elementu zarówno do psychiki polskiej, jak i rosyjskiej. Na krótki bowiem okres współżycia wystarcza jedynie stwierdzenie, że Rosja potrzebuje bagnetów polskich do stworzenia antyniemieckiej zapory nad Odrą, a Polska, granicząc z światową potęgą Sowietów, uzyskuje w niej ubezpieczenie przeciwko odrodzeniu się ekspansji niemieckiej.

* * *

Jest naszym zamiarem przypominać ustawicznie, że żyjemy na granicznej krawędzi dwóch epok.

Napięcia polityczne i gospodarcze wynikają ze współczesnej rzeczywistości polskiej i międzynarodowej, dostarczają dość przyczyn, by budzić chaos pojęć, niepokój uczuć, wahania woli. Tym niemniej obecna rozterka duchowa jednostki i społeczeństwa ma nie tylko to źródło. Niezależnie bowiem od naszych klęsk i naszych zwycięstw, ponad naszą niewiarą i ponad naszymi nadziejami powstaje nowy świat. Nowy porządek powstaje na gruzach starych form. Stąd powikłania duchowe pokolenia, które żyje w czasach przełomu epok.

Proces powstawania nowej epoki może być traktowany jako zjawisko nie uniknione, które stanie się bez względu na nasze chcenie, czy przeciwdziałanie. Trzeba jednak pamiętać, że nowa epoka nadchodzi ponieważ chcą jej ludzie, masy ludzkie. Trzeba dalej powiedzieć, że dążenie do nowych form życia jest bardzo konsekwentne, trwa jednolicie przez szereg pokoleń, aż do swojego spełnienia. Urządzenia starego świata mogą być dla jednych przedmiotem nienawiści, dla drugich zaś stanowić obiekt szczerego sentymentu. Jedni jednak i drudzy nie mogą dalej przebywać w starym świecie, bo przestał organizować ich życie.

Są więc dwa źródła obecnej rozterki. Jedno z nich, to poprostu troska o Polskę, drugie stanowi troskę o Polskę w nowej epoce. Troska o Polskę stawia przed współczesnymi te same zadania, jakie miały poprzednie pokolenia tysiąc, pięćset, czy sto lat temu. Zadania taksamo, jak wówczas, mogą być rozwiązane dobrze lub źle, a powinny być rozwiązane najlepiej.

Troska o Polskę w nowej epoce rodzi konieczność wytężania uwagi, by nie budować gmachu naszej narodowej przyszłości na bagnie rozkładu starego świata. Troska o Polskę w nowej epoce, to decyzja założenia fundamentów narodowej przyszłości na twardym gruncie nowego świata, który się wyłania z burz dotychczasowej historii ludzkości.

Słychać zewsząd nawoływania i krzyki, że w tej chwili niepotrzebna jest wielka ideologia. Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie na skutek zagrożenia jej bytu przez ścieranie się wielkich sił międzynarodowych. Walczmy o granice, walcz-

my o największy zakres wolności narodowej.

Oto cały problem chwili obecnej. Nieprzemyślenie i łatwizna duchowa jest źródłem tej rzekomo patriotycznej wrzawy.

Gdzież jest bowiem rozstrzygający oręż, którym w obecnym okresie naród polski może walczyć o swój byt. Nie trzeba chyba dowodów, by stwierdzić, że decydujące środki materialnej walki są w rękach wielkich partnerów międzynarodowej rozgrywki, a nie w polskiej dłoni.

Na czym więc polegać może polski udział w tej międzynarodowej grze?

Na stawianiu na właściwego zawodnika — odpowiedzą chyba zwolennicy prostego ujęcia sprawy. Bardzo to jest słuszne spostrzeżenie, ale nie określa ono w żadnym razie twórczej postawy narodu wobec swego własnego losu. Fałszywym bowiem jest przekonanie, że życzenie keóremukolwiek ze światowych partnerów zwycięstwa jest dostatecznym narodowym działaniem. Międzynarodowy wyścig o światowe wpływy nie odbywa się w interesie Polski, nie chodzi w nim o Polskę i nie dla zainteresowania polskiej publiczności został on zorganizowany. Czas jest najwyższy, aby cały naród polski zeszedł z trybuny światowego widowiska i sam stał się świadomym zawodnikiem.

Jaka jest jednak właściwa droga w obecnych warunkach do osiągnięcia przez naród polski roli pełnego podmiotu własnych dziejów? Niewątpliwie trzeba budować fabryki, miasta, przecinać kraj szosami, orać, siać, żąć. To jest warunek podstawowy, ale niewystarczający. Każde bowiem budowanie wymaga fundamentu, podstawą zaś, na której naród wznosi swe miasta i fabryki, nie jest tylko ziemia, ale wiara we własne siły, która czyni realnym cel, dla którego się buduje. I tu wkraczamy z powrotem w klimat wielkiej ideologii,, w istotę obecnych źródeł mocy Polski.

Jakkolwiek potężni są światowi partnerzy międzynarodowej rozgrywki, są oni tylko wyrazicielami, bądź narzędziami dziejowych przemian, tworzących nową epokę. Ostatecznym zwycięzcą w obecnym ścieraniu się sił będzie ten naród, który potrafi oprzeć swoją przyszłość na wprowadzeniu w życie tendencji nowych czasów. Przez świat wieje obecnie dziejowy wiatr historycznej, nieuniknionej przemiany. Z myśli naszej i z odczuć naszych musimy stworzyć żagle, aby moc tego pędu użyć do przełamania polskich trudności i rozwoju narodowego postępu. Przelana strumieniami krew polska, krew naszych najbliższych, musi wydać posiew. Na wzrost tego posiewu nie wolno nam żywym Polakom biernie czekać. Aliaż krwi i idei polskiej, aliaż stopiony walką i ofiarą poległych Polaków zobowiązuje nas, daje nam siły do krystalizowania i promieniowania wielką ideologią, powstającego w walce, nowego świata.

**Bolesław Piasecki**

*Witold Bieńkowski*

# WCZORAJ I DZIŚ

Tym ludziom, którzy z niepokojem obserwują płytkie polemiki i niewielkie gry, znajdujące się jakby na marginesie ważnych spraw, należy się miano działaczy inteligentnych. Tych działaczy inteligentnych wyprowadza z równowagi małoduszna postawa działaczy zawodowych, którzy w wielkich problemach znajdują odskocznię dla swych osobistych drobnych spraw, zagadnienia najwyższej wagi zaciemniają własnym intelektualnym wyżywaniem się, a swoiście czy partyjnie pojęte sprawy światopoglądowe lub narodowe rzucają na płaszczyznę zaleconej lub „taktycznie uzgodnionej" propagandy.

Bunt przeciw chwaleniu rzeczy nie zasługujących na pochwałę, jest buntem twórczym. Bunt przeciw nieuszanowaniu dziedzin wolnych od nakazów i taktyki politycznej jest objawem zdrowym, zdolnym stanowić przeciwwagę dla tych wszystkich objawów psychopatii zbiorowej, które jakiś zwariowany kolekcjoner chciałby w swym panopticum umieścić.

Dziwna epoka, w której żyjemy, owa epoka przejścia od „wczoraj" do „jutra", posiada specjalne prawa, specjalne stwarza obowiązki.

Nie należy o nich się rozwodzić. Wystarczy powiedzieć krótko, że są to prawa i obowiązki wielkości.

Rozdroże dwóch epok, kategoryczne i bezwzględne pożegnanie karnawałowego „wczoraj", wykuwanie drogi dla pracowitego i obciążającego równymi obowiązkami **wszystkich** obywateli — „jutra" — to czas najważniejszy, czas, na który oczekiwała historia. Miejsce twórcze w tym Czasie jest tylko dla Wielkich.

Ocena „wczoraj", ów łatwy rewizjonizm, nie wyczerpuje się w łatwych pojęciach wstecznictwa. Działacz zawodowy niełatwo wybrnie z własnych powiązań z „wczoraj", powiązań pojęciowych, politycznych, osobistych przyzwyczajeń do określonego i zapamiętanego bezstylu życia. Ocena „wczoraj" musi się wiązać najściślej ze zrozumieniem tego wkładu, na który uczekuje „dzisiaj", jako wstęp do „jutra".

I tu trzeba się porozumieć. Trzeba znaleźć w samym sobie dostateczną dozę wielkości, aby stwierdzić, że epoka obecna, jeśli chce spełnić zlecone jej zadanie, musi przede wszystkim wydobyć na plan pierwszy te wszystkie wartości, które na wielkość epoki się złożą.

Zmiana pojęć? — Tak! — Nigdy zmiana postawy! Wszystko, co było czynne, dynamiczne, rewolucyjne w dniu wczorajszym, jeśli spełni nieodzowny warunek przekreślenia pojęć o przebrzmiałych i szkodliwych przedwojennych kierunkach politycznych, jeśli w pełnym zrozumieniu istoty demokracji staje dzisiaj do pracy — ma prawo wkładu czynnego. Może tworzyć, może budować. Może budować nawet lepiej na miarę czynnej, dynamicznej i rewolucyjnej postawy dnia wczorajszego.

Czy odpowiadam na artykuły „powitalne" prasy polskiej, przyjmującej ukazanie się tygodnika „Dziś i Jutro" przypomnieniem owego „wczoraj", części zespołu redakcyjnego, wywodzącego się z b. O. N. R.-u?

Nie. Jako reprezentant pisma i tej dużej części jego współpracowników, którzy z O. N. R.-em związani nie byli — stwierdzam tylko, że strzelano w próżnię. Gorzej — wydobyto na jaw własne przyzwyczajenia do małych określeń, niezgodnych z wielkością epoki.

Celny strzał w dzień wczorajszy — to zniszczenie nie tylko przerostów kapitalistycznych i unicestwienie wszelkiego rodzaju faszyzmów. Celny strzał we „wczoraj" — to przede wszystkim potępienie wszelkiej małości, odżegnanie się od oportunizmu, od karierowiczostwa, od nieczystej postawy moralnej.

Afirmacja dnia dzisiejszego to stawianie na istotną wielkość, nie mierzoną znaczeniem politycznym, ale prawdziwym zrozumieniem znaczenia epoki.

### ETYKIETY POLITYCZNE.

Jeśli wspomniałem artykuły „powitalne" prasy polskiej — pokwitować muszę plotki. Kwituję wszystkie i bez reszty. I te, które mówią o zdradzie sprawy katolickiej i narodowej. I te, które nas pomawiają o posiadanie milionów złotych niewiadomego (lub wiadomego) pochodzenia. I te, które nam proffilaktycznie zarzucają herezję. I te, że... „oni w ogóle niepewni i nieciekawi". I wiele, wiele innych, wzbudzających śmiech.

Kwitujemy wszystkie, nie pamiętając żadnych. Żal? — Mój Boże! Można by mieć żal tylko wówczas, gdyby plotki, inwektywy i oszczerstwa podkopały choć w części wolę pracy i wolę czynu.

Przyczyna tego rodzaju stosunków znajduje się głębiej, niż chęć gorliwego wynoszenia własnych racji politycznych.

Chodzi o etykiety. O etykiety polityczne. W układzie stosunków dnia dzisiejszego tkwi tyle chorobliwych narostów z „wczoraj", że bodaj nikt nie potrafi zdobyć się na uznanie czyjejkolwiek pracy społecznej, jeśli nie zdolen jest zakwalifikować jej politycznie. Może to jest PPR?, a może PSL?, a czemu nie Stron. Pracy?, lub dlaczego nie PPS?, więc SD? I proszę sobie wyobrazić, że naprawdę i rzeczywiście żadne z nich. Pozostaje jeszcze SL. I to także nie. Więc co?

Pozostaje walka o styl epoki, który by wydobył na jaw i na pierwsze miejsce sprawy ważniejsze od partii politycznych, od ich układów i przeciwstawień, od ich partyjnych zamierzeń i partykularnych celów. Chodzi o ten styl, który by wskazał każdemu, niezależnie od przynależności i sympatii politycznych, na nadrzędne społeczne i narodowe, dla których pracuje się pospołu.

Chodzi o to, aby ludzie, którzy przecież wszyscy żyli wczoraj, potrafili żyć, w zmienionym „dzisiaj" i świadomie zdobywali jeszcze inne, bo jeszcze lepsze „jutro".

Etykietek politycznych palić nie należy. Są potrzebne dla tych wszystkich, którzy bez segregacji i szufladkowań żyć nie potrafią. Oby nie szufladkowali tych, którzy w żadnej szufladzie się nie zmieszczą.

### WKŁAD W EPOKĘ PRZEŁOMU.

Doszły do nas jeszcze inne głosy. Te mówią, że jesteśmy brdziej radykalni w swych hasłach społecznych od PPR-u.

Zaraz... zaraz... „jesteśmy bardziej radykalni w swych **hasłach**". Nieporozumienie pierwsze. Nie jesteśmy partią polityczną, zatem nie mamy potrzeby operować hasłami. Zatem nie chodzi o hasła. Chodzi o prawdę, chodzi o zasady, chodzi o postawę.

Jesteśmy rzeczywiście bardzo radykalni. I bodaj że dla wielu lękających się radykalizmu socjalnego może być pociechą, że nie jesteśmy partią polityczną, że nie wnosimy w parlamencie projektów ustaw że nie zgłaszamy poprawek, że nie posiadamy bezpośredniej możności politycznego oddziaływania na prawny układ stosunków społecznych.

Nie będąc partią polityczną, jesteśmy zwolnieni od obowiązku przedstawienia radykalnego programu ustrojowego, socjalnego i politycznego. Mamy natomiast obowiązek uzasadnić nasze istnienie i działanie społeczne. Musimy pokazać kim jesteśmy i czego chcemy.

Proszę wybaczyć mój bunt, z którego wynika niechęć pokazania ponumerowanych, skatalogowanych, sparagrafowanych punktów naszych zamierzeń. Byłyby to, w takiej formie podane, zwykłe hasła-slogany. Kto śledzi i zechce nadal śledzić treść „Dziś i Jutro" we własnym przeżyciu wewnętrznym i w zmianie własnej postawy, dostrzeże ów wpływ, który istnienie nasze uzasadnia.

Jesteśmy radykalni. Przede wszystkim w tych dziedzinach, które stanowią o istocie przemian, jakie niesie epoka. A istotą przemian jest wewnętrzne a nie zewnętrzne przeżycie zmian i nowych założeń epoki.

Radykalizm musi być bezwzględny, musi być rewolucyjny. Musi postawę antykapitalistyczną wyprowadzić z wewnętrznej potrzeby sprawiedliwości socjalnej. Musi równość demokratyczną oprzeć na miłości człowieka do człowieka. Musi upowszechnienie prawa własności wywieść ze świadomego zrozumienia niesprawiedliwości w podziale dóbr. Musi dla unicestwienia proletariatu przez jego uwłaszczenie, znaleźć najgłębsze, najtajniejsze uczucie serca katolika i jego mocną wolę walki z istniejącym złem.

### POSTAWA I STYL.

I czymże jeszcze moglibyśmy odpowiedzieć na tytuł artykułu „wczoraj i dziś?".

Zacytujemy taki sobie kawałek z prasy konspiracyjnej, do którego cytowania mamy bardzo wielkie, może i wyłączne, prawo. Jest to część artykuliku zatytułowanego „Piszemy historię", drukowanego 25 lutego 1944 roku.

„Słabe będą i nieciekawe te karty historii, które zapisujemy teraz w momencie najgroźniejszym. Historia bowiem wybiera do dziejów Narodu najbardziej zasadnicze zdarzenia, podmalowuje ich tło i składa hołd mądrym i mężnym. Dla braku mądrości i męstwa jest nieubłagana. Potrafi zapomnieć o istotnych bohaterstwach ludzi szarych, jeśli nie zostały wykorzystane przez ludzi tworzących historyczne fakty. I odwrotnie. Historia sławi epokę Wielkich, ubierając w fantastyczne legendy tłumy nędznych i bezimiennych, jeśli mieli szczęście dać, choćby najbardziej nieświadomie, podparcie Wielkości.

I dlatego żal jest dzisiaj umierać. Rozpacz ogarnia skazanych, którzy w ostatniej sekundzie życia potrafią być mądrzy i w przedziwnym jasnowidzeniu śmierci trafnie oceniają swój wkład, którego nikt nie podejmuje, bo nie ma takiego, kto by go podjął.

I dlatego w ocenie dzisiaj żyjących i już dzisiaj na niewiadomą śmierć skazanych, powstaje bunt. Bunt przeciw wszelkiej małości. Bunt przeciw brakowi decyzji. Bunt przeciw gadaniu, przeciw politykowaniu, przeciw przelewaniu z próżnego w puste, przeciw zakłamanym deklamacjom, przeciw pysze tych, którym się zdaje, że w gabinetowych rozmowach potrafią odwrócić klęskę.

*Andrzej Augustowski*

# ŻYCIE

A gdy nadejdzie jak codzień, jak codzień
wieczór morderczy w swym logicznym marszu
po bruku minut, z głuchym werblem godzin,
że to, co było bliskie — jest już dalsze.

Cień bezszelestnie wplata się w firanki,
wszystko jest sepią, utopioną w czasie,
czy może czas jest utopiony w nocy?...
Nie wiem, już nie wiem. Świat — jest za oknami.

Świat za oknami, a w oczekiwaniu
Jak ty i on na jutro, z nadzieją,
pozwalam cieniom opaść na powieki.
Cicho, czy słyszysz jak zbliża się jutro?

Jutro jest święto. Gdy wyjdziemy z bramy
porwie nas oddech poranków niedzielnych.
słońce się wprosi drzwiami i oknami,
szczęśliwi będą bogaci i biedni.

Jutro w ulicach będzie dużo wiatru
i oczów wiatrem zmrużonych radośnie,
co drugi będzie naszym przyjacielem,
za każdym rogiem czeka nas przygoda.
Będzie nam dobrze! A wolność zwycięska
my odkrzykniemy: — Hej, doczekaliśmy!
spojrzy triumfalnie z kolumn i pomników,
Dzisiaj jest jutro! Niech czas się zatrzyma!

A potem — czemu oczy ci ściemniały? —
potem nadleci ze słonecznym wiatrem
myśl przebudzenia, szept znany tak dobrze:
— cicho, czy słyszysz jak zbliża się jutro....

Wieczór wypłynie gdzieś z lasów północnych,
a my będziemy tkwić w oczekiwaniu.
Świat — za oknami. Jutro będzie święto.
A to, co było bliskie — jest już dalsze.

**Warszawa, kwiecień 1944.**

To nie jest tylko bunt. To jest oskarżenie. Nam dzisiaj na jutrzejszą śmierć skazanym Historia daje prawo sądu. Każdy wiersz dziś przez nas napisany ma prawo być testamentem. Nas nie interesuje, kto dziś „stanowi". Czy to jest „Czwórka", czy N. S. Z., czy „Centralizacja Lewicy". Widzimy niewykorzystane bohaterstwo poległych towarzyszy, widzimy krew na ulicach miast polskich, ofiarowaną dzisiaj na falach eteru gdzieś komuś dla jakiejś niewiadomej. Nie wiemy czy przeżyjemy jutro i czy nasza krew nie stanie się tylko tematem jakichś deklamacji o bohaterstwie bez historycznego wkładu. My mamy większe aspiracje, niż zapisywać karty historii Warszawy, Krakowa, czy Lublina. Chcemy mieć pewność, że bohaterska historia krwi na ulicach miast polskich wyrośnie do znaczenia Wielkich Zdarzeń, które zapisze Historia. Historia, dla której my pozostaniemy bezimiennymi, ale która naszą krew, bohaterstwo poległych braci i naszą jutrzejszą ofiarę nazwie imieniem triumfu i zwycięstwa".

(„Prawda dnia" 25 luty 1944 r.)

Artykulik obrazuje pewien styl w stosunku do ówczesnej, rządzonej z Londynu, rzeczywistości. Mamy wielką ambicję, aby ten styl dnia wczorajszego był naszym stylem w epoce dnia dzisiejszego.

Styl życia łączy się z postawą w życiu. Deklamować nie warto. Trzeba działać.

**Witold Bieńkowski**

---

*K. Pytel*

# Refleksje po historycznych decyzjach

Wydaje się, że opinia publiczna nie docenia w dostatecznej mierze znaczenia uchwał, powziętych na ostatniej sesji Krajowej Rady Narodowej, a w szczególności uchwały zatwierdzającej dekret o przejęciu przez Państwo wielkiego i średniego przemysłu, oraz uchwały ratyfikującej układ z Bretton Woods. Trudno również oprzeć się wrażeniu, po zaznajomieniu się z treścią obrad ostatniej sesji, że również sami posłowie ani nie docenili w całej pełni doniosłości zaszłych faktów, ani też nie ujęli wszystkich następstw, które są logiczną tych faktów konsekwencją. W najbliższych numerach przejdziemy do szczegółowej analizy obu wymienionych uchwał. Obecnie pragniemy podzielić się z czytelnikami refleksjami, które się nam nasuwają na tle ostatniej sesji Krajowej Rady Narodowej oraz pewnych enuncjacji czołowych kierowników naszego życia gospodarczego.

Wyrażaliśmy niejednokrotnie pogląd, że zagadnienie przebudowy gospodarczej kraju winien rozstrzygnąć pierwszy parlament, ukonstytuowany w drodze demokratycznych wyborów. Stało się jednak inaczej. Mimo to uważamy, że rozwałkowywanie tego zagadnienia byłoby zupełnie bezcelowym, jak również oburzanie się że nacjonalizacja ma tak szeroki zasięg. Tak samo, jak całkowicie bezproduktywnym jest wylewanie łez przez byłych właścicieli ziemskich nad utratą majątków. Fakt jest faktem. Są procesy nieodwracalne. Ci, którzy w wyniku społecznych przeobrażeń zostali pozbawieni dotychczasowych podstaw materialnych, winni szukać nowych dróg życiowych, a nie poddawać się ułudom, że może coś się zmieni i wróci to, co było.

Wobec uchwalenia dekretu o nacjonalizacji, wyłania się obecnie zagadnienie, co w miejsce gospodarki prywatnej powstanie. Kapitalizm państwowy czy faktyczne uspołecznienie. W świetle różnych dotychczasowych enuncjacji należałoby spodziewać się realizacji tej drugiej koncepcji. Jednakże boimy się niezwykle groźnego wroga uspołecznienia. Niemniej groźnego aniżeli kapitalizm prywatny. Wrogiem tym jest była i będzie biurokracja. Tylko w interesie tej grupy społecznej leży rozbudowa i utrwalenie kapitalizmu państwowego. Ale też w obronie swoich interesów biurokracja umie walczyć równie zacięcie jak i kapitaliści prywatni i to przy pomocy różnorodnych metod. To, że dany urzędnik państwowy należy do stronnictwa, domagającego się uspołecznienia, bynajmniej nie zmienia, jak doświadczenia uczą, jego etatystycznego nastawienia. Pozatym uspołecznienie może być pozorne. Dawniej zdawało się, że pod formą spółdzielczą ukrywali kapitaliści różne ciemne machinacje. Dzisiaj wyczuwa się tendencje, aby tej samej formy użyć do zasłonięcia całkowicie etatystycznych kombinacji. Stan obecny spółdzielczości budzi pod tym kątem widzenia bardzo poważne zastrzeżenia. Można byłoby jeszcze wytłumaczyć pewną przejściową etatyzację spółdzielczości. Niestety stan obecny zczyna nabierać cech utrwalającego się systemu. Byłoby wskazane, aby ten sam pośpiech, który charakteryzował akcję deprywatyzacji, towarzyszył procesowi uspołecznienia.

Ciągłą, wysoce ujemną, cechą naszego życia gospodarczego jest brak odpowiedniej publicznej dyskusji na temat zagadnień gospodarczych, zarówno koniunkturalnych, jak i strukturalnych. Zwracaliśmy uwagę na tę sprawę już trzy miesiące temu w pierwszym numerze naszego pisma. Niestety pod tym względem trudno zanotować jakieś zmiany na lepsze (poza wyjątkami, o których poniżej). Dekrety o nacjonalizacji i o Bretton Woods przesunęły się właściwie poprzez naszą publicystykę niepostrzeżenie. Poza kilkoma tłustymi tytułami na pierwszych stronach dzienników i wypowiedziami ministrów, nie usłyszeliśmy ani nie przeczytaliśmy żadnych poważnych głosów na temat wymienionych dekretów. Również dyskusja na temat nacjonalizacji, która toczyła się na sesji Krajowej Rady Narodowej, nie miała specjalnie głębokich momentów. Np. postulat PSL podniesienia granicy ilości robotników z 50 na 100 nie wydaje się uzasadnionym. Naszym zdaniem ilość robotników w ogólności nie jest kryterium właściwym dla oceny konieczności nacjonalizacji danego przedsiębiorstwa. Jeśli jednak kryterium to przyjmujemy się, jest uzasadnionym przyjęcie albo niskiej granicy tak jak to przewiduje dekret, albo bardzo wysokiej, np. 400 lub 500 robotników, analogicznie do Czechosłowacji. Kryterium 100 robotników napewno nie rozdziela przemysłu wielkiego, kluczowego, od średniego, który zdaniem PSL nie powinien ulec nacjonalizacji. Również niezupełnie zrozumiałe jest stanowisko PSL w sprawie odszkodowania, w szczególności w świetle tendencji, jakie reprezentuje naczelny organ tego stronnictwa Gazeta Ludowa. Natomiast jak najbardziej popieramy postulat PSL-u o przekazanie spółdzielczości rolnej rolniczego przemysłu przetwórczego.

Bez dyskusji przeszła uchwała ratyfikująca układ z Bretton Woods o utworze nie międzynarodowego Funduszu Walutowego i Międzynarodowego Banku Odbudowy. Trudno nie wyrazić z tego powodu jak najsilniejszego zdziwienia. Wydaje się jakby posłowie do KRN uważali że tylko od ratyfikowania powyższego układu zależy uzyskanie kredytu zagranicznego. Możliwe, że kredyt ten uzyskamy, tym niemniej przyjęcie układu Bretton Woods wywoła niewątpliwie wcześniej, czy później, daleko idące konsekwencje wewnętrzno-gospodarcze. Na tle niniejszego układu wyłania się zagadnienie, w jaki sposób ułoży się współpraca gospodarcza krajów o gospodarce planowej, względnie o jego przewadze, z krajami o przewadze systemu kapitalistycznego. Nie twierdzimy, że jest to zagadnienie nie do rozwiązania, lecz niewątpliwie rozwiązanie tego zagadnienia będzie połączone z poważnymi trudnościami. Jest rzeczą dziwną, że posłowie tego tematu nie poruszyli. A jednak Rosja Sowiecka do układu jeszcze nie przystąpiła. Widocznie dla ekonomistów i polityków radzieckich problem ten nie przedstawia się tak nieskomplikowanie, jak dla posłów KRN.

Podobno sesja KRN zakończyła się nastrojem niezwykle radosnym. Poza zadowoleniem z przeprowadzenia aktów ustawodawczych o niewątpliwie historycznym znaczeniu wydaje się, że przyczyną tego nastroju jest optymizm, jaki panuje w pewnych sferach społeczeństwa na temat sytuacji gospodarczej w kraju. Wybitnym propagatorem tego optymizmu jest w szczególności minister Minc. W jego przemówieniu na kongresie PPR znaleźliśmy niezwykle optymistyczną ocenę obecnej sytuacji gospodarczej, jak również miraże bliskiego (bo za trzy lata) szczęścia.

Nieco inne stanowisko zajmuje Prezes Centralnego Urzędu Planowania, Czesław Bobrowski, który podkreślając (Przegląd Socjalistyczny Nr. 3) pewne, niewątpliwie poważne osiągnięcia w ostatnim kwartale ubiegłego roku, wyraźnie określa ten czasokres, jako „zły kwartał" i „to nie tylko — jak się wyraża — z niechęci do urzędowego optymizmu". Jako zjawiska ujemne pan Bobrowski wymienia: niewykonanie w szeregu gałęzi przemysłu planu, niezadawalniający układ kosztów produkcji, a przede wszystkim zniekształcenie podziału dochodu społecznego w niepożądanym kierunku, wzrost bowiem dochodu konsumowanego mas pracujących nastąpił w skali mniejszej, niż by to powinno mieć miejsce przy danym nakładzie pracy i przy danym zużyciu środków materialnych. Źródła zła dopatruje się pan Bobrowski „z jednej strony w transporcie, z drugiej w obrocie". Poza tym wymienia cały szereg fatalnych następstw braku dostaw węgla, dochodząc w konkluzji do wniosku, że ograniczenia dostaw dla celów konsumpcyjnych nie poprawiły sytuacji aparatu produkcyjnego. Jak widać z powyższego, w oświetleniu pana Bobrowskiego, rzeczywistość nie przedstawia się tak różowo, jak w przemówieniach min. Minca. Mimo to pogląd pana Bobrowskiego bardziej nam odpowiada.

Wiadomo bowiem każdemu, że sytuacja gospodarcza jest bardzo ciężka. I nic w tym nie ma szczególnie dziwnego, jeśli uzmysłowimy sobie rozmiar zniszczenia w kraju, spowodowanego i okupacją i działaniami wojennymi. Poprawa sytuacji gospodarczej uzależniona jest przede wszystkim od realnych koncepcji, a te od realnej oceny sytuacji.

Taką właśnie ocenę daje nam Prezes Centr. Biura Plan. W podobny zresztą sposób przemawiał dawniej min. Minc. Dlaczego metodę zmienił? Czyżby polityk zdystansował ekonomistę?

**K. Pytel**

---

*Zofia Trzcińska - Kamińska*

# WALKA O DZIECKO

### ARMIA NIEMOWLĄT

Leżymy geograficznie między blokiem sowieckim, liczącym sto osiemdziesiąt milionów, a blokiem niemieckim, liczącym siedemdziesiąt milionów ludności. Nas natomiast było przed wojną trzydzieści pięć milionów, w tym dwadzieścia trzy miliony rdzennych Polaków. Przejrzyjmy tylko czterysta lat dziejów naszych, a przekonamy się, że takiego nikłego liczbowo stosunku z sąsiadującymi narodami nigdy w historii naszej nie było. Jeden do dziesięciu! Kiedy myśmy maleli, to sąsiedzi nasi rośli. Przecież jeszcze w XV wieku państwo moskiewskie miało mniej ludności niż Polska. Niestety, już między wiekiem 17 a 18, w okresie wielkiego bogactwa narodowego, ale i wielkiego sybarytyzmu życiowego, ustaje przyrost ludności w Polsce, co łączy się z naszą dekadencją polityczną; stan taki trwa do rozbiorów. Za to od początku 19 wieku do wojny światowej następuje trzykrotny wzrost ludności i to niewątpliwie był decydujący powód, aby nasze dążenia niepodległościowe stały się realne, ale w okresie międzywojennym, w okresie tak zwanym Polski sanacyjnej, nie tylko nas nie przybyło, ale ubyło pięć milionów. Pięć milionów ubytku między 1914 i 1939 r.!, mimo, że w tym czasie środki antykoncepcyjne nie były tak rozpowszechnione, a poronienia były sądownie karane.

Co będzie po tej wojnie wobec szerzenia się neomaltuzjanizmu, ułatwiania poronień, wobec zniszczeń, spowodowanych wysiedleniami, obozami koncentracyjnymi i wobec wyginięcia mężczyzn?

Te kilka danych statystycznych brzmi jak poważne ostrzeżenie, jak smutna groźba. Ostrzega nas bieg ostatnich klęskowych lat, w serca nasze pada ta ciężka świadomość wielkiej odpowiedzialności naszego pokolenia; nas żywych — którym dane było wyjść z pogromu — przetrwać —i budować Polskę. Pod jej nowy, potężny gmach, jak kamienie węgielne składamy w wysiłku życia nasze i utrudzone serca. Piękne to zadanie, ale jak bardzo odpowiedzialne!

Stoimy wobec prawdy, którą my wszyscy kochający Polskę, pragnący jej rozwoju, pragnący jej życia, wyznać musimy zgodnie: jeżeli mamy istnieć jako naród, to musimy się odrodzić, musimy się rozrosnąć.

Wierzymy w naszą misję, wierzymy w wielkie zadanie narodu polskiego. Ale naród ten w oczach maleje, ginie liczbowo.

Osłabiony strasznym krwawym jarzmem okupanta, słabnie nadal z upływu krwi, a to nie od ciosów, zadawanych ręką wroga w jawnej nienawistnej walce, ale od ran zadawanych w ukryciu, w samobójczej orgii, w samowyniszczającej akcji, ukrytej pod różnymi humanitarnymi i sanitarnymi pretekstami.

Zabójca zawsze znajduje jakiś pozór dobry dla dokonania mordu; a szatan, który jest „kłamcą od początku", sugeruje bardzo liczne i bardzo „niezbite" argumenty przeciw prawu życia, on, książę śmierci i zatracenia.

A przecież, jakkolwiek będziemy spoglądać na rozwój Polski, jakkolwiek różnie widzieć będziemy jej cele i rozumieć jej rolę dziejową, choćbyśmy stali na najbardziej krańcowych politycznie biegunach, mimo rozbieżnych poglądów na polską przyszłość, cele i zadania — to jedno jest pewne, że nie zbudujemy żadnego wielkiego państwa, jeżeli w Polsce nie powstaną liczne, silne, moralnie zdrowe rodziny.

Naprawdę zwycięża naród ilością swych dzieci:

K o ł y s k i  z w y c i ę ż a j ą.  N i e m o w l ę t a  g ł o s z c  z w y c i ę s t w o.

Jakokolwiek jest nasz pogląd polityczny — jakakolwiek orientacja myślowa, jakakolwiek przynależność religijna, społeczna — jeśli myślimy, a myślimy uczciwie — jeśli pragniemy ojczyzny silnej i oczekujemy lepszej przyszłości, tedy jedno musi być naszym wspólnym dobrem, naszą wspólną drogą, naszą wspólną myślą i pragnieniem: to dzieci! Dzieci! Dużo dzieci! Dużo kołysek: armia niemowląt! A r m i a  n i e m o w l ą t, to jedyna armia niezwyciężona, to pozycja polska najcenniejsza, argument nieodparty — bogactwo największe — obrona najrealniejsza — wreszcie zwycięstwo niezawodne.

Na tle groźnych aktualności, które przeżyliśmy, ukazała się nieudolność najlepszych wyposażeń wojskowych. Miliony walczących poległo, na ogromnych obszarach panuje wyludnienie, bezwład i cisza śmierci.

Wchodzimy w nową erę. Wynalazki techniczne ostatniej doby przeniosły nas jakby poza czasem w nowy tryb, nowy ład, nowy układ życia.

Zbrojenia dotychczasowe dziwnie wydają się niepoważne wobec nowych środków zagłady. Wpatrzeni z troską w przyszłość, nie czujemy już oparcia w widoku uzbrojonego żołnierza. Karabin, szabla, czy granat w dłoni męskiej, straciły już swój wyraz mocy, swoją powagę siły. Za to widok niemowlęcia w ramionach matki, wózek z maleństwem, gromadka rozbawionych dzieci, dają nam dziwne uczucie nadziei, wiary w przyszłość, jakby oparcie o moc biologiczną narodu.

Dzieci! Oto są nasi istotni obrońcy! Oto żołnierze zwycięscy, oto niezmożona moc życia, oto gwarancja przetrwania, oto szermierze o prawo do bytu, oto nasze wojsko umiłowane, zawsze ochocze — zawsze bojowe — zawsze radosne — i zawsze zwycięskie!

Nie mamy sprawy ważniejszej, jak to — aby nasza młodociana armia była liczna i coraz liczniejsza. Musimy wreszcie wyposażyć Polskę w sprzęt bojowy ak-

tualny i nieprzedawniony: w kołyski i w pieluszki.

Musimy natchnąć rycerskie serca naszych kobiet odwagą najcenniejszą: odwagą macierzyństwa.

Musimy poruszyć sumienie społeczne zadaniem opieki nad dzieckiem i matką. Matką, tak teraz często opuszczoną, zdaną na siebie tylko, a wierną w cichej, bohaterskiej walce każdego dnia.

A ponad wszystko, musimy ogarnąć wielkim uczuciem miłości, niezłomną wolą opieki, zdecydowaną postawą obronną, rzesze naszych upragnionych, a jeszcze nie urodzonych dzieci, naszych przyszłych obrońców, naszych towarzyszów w boju, naszych żołnierzy maleńkich, naszą nadzieję, chlubę i miłość — naszą niezwyciężoną a r m i ę n i e m o w l ą t.

**Zofia Trzcińska-Kamińska**

---

*Juliusz German*

# O Ludwiku Solskim

Przyjaciel pisze o przyjacielu. Lat dawnych sięga początek tej przyjaźni, która zawiązała się w warunkach trochę niezwykłych. Gdym poznał Solskiego, miałem niewiele więcej niż lat dwadzieścia, on zaś dochodził do pięćdziesiątki. Był już — lat temu z górą czterdzieści — sławnym i wielce cenionym artystą, a ja nader początkującym pisarzem, który na lwowskim konkursie dramatycznym otrzymał pierwszą nagrodę za trzyaktową baśń wierszem „Lilith". Utworem tym zajął się gorąco ówczesny dyrektor teatru miejskiego we Lwowie, Tadeusz Pawlikowski, zapisany w historii polskiego teatru jako jeden z najwybitniejszych i najwytworniejszych twórców jego kultury. Solski reżyserował moją sztukę, g... jąc równocześnie główną rolę „Królewicza z bajki". Zaraz na pierwszej próbie doszło między niedoświadczonym autorem a znakomitym reżyserem do scysji dosyć gwałtownej, gdy autor w naiwnym młodzieńczym oburzeniu zaczął usilnie protestować przeciw obcinaniu i skreślaniu jego wierszy przez reżyserską i aktorską powagę. Rozgniewany Solski oddał rolę, przyprowadzając mnie do wielkiej rozpaczy i przerażenia. Z wytwornym swym patrycjuszowskim uśmiechem załatwił sprawę Pawlikowski, załagodził gniewy i rozdrażnienia. W rezultacie rzuciliśmy się sobie z Solskim w objęcia i ku największemu memu szczęściu i zachwytowi Ludwik Solski, mistrz i chluba polskiej sceny, zaproponował mi, młodzikowi, stawiającemu pierwsze kroki w literaturze, abyśmy mówili sobie po imieniu.

Grał w „Lilith" i reżyserował cudownie.

Tak to się rozpoczęło, trwało i przetrwało długie dziesiątki lat w coraz serdeczniejszej przyjaźni. Dziesiątki lat... Te lata, gdy myślę o Solskim, wydają mi się czymś zupełnie nierealnym. Tak samo, jak wydaje mi się rzeczą najkompletniej niewiarygodną, że Solski ma dziś lat dziewięćdziesiąt, że teraz to siedemdziesięcioletni jego sceniczny jubileusz...

Nie zanotował jeszcze podobnego faktu teatr polski w swoich kronikach. Unikat to niebywały i fenomen najdziwniejszy i ten jubileusz i cały Ludwik Solski.

Aktorzy dożywali nieraz bardzo sędziwego wieku, będąc tu wybitnym przeciwieństwem pisarzy, pośród których tylko jeden Aleksander Świętochowski był wyjątkiem, do dziewięćdziesiątego roku życia tworząc i działając. W tym względzie poprzednikami Solskiego (jednak o znaczny szereg lat od niego młodszymi) byli na przykład Rapacki i Leszczyński. Przypomina się tutaj, że tegoż Leszczyńskiego wnuk, świetny dzisiejszy artysta dramatyczny, Jerzy Leszczyński, jest już po sześćdziesiątce, a mimo to wciąż jeszcze uroczy dzielną młodością. Skończmy z tymi latami i metrykami!

Gdy mowa o Ludwiku Solskim, do lamusa trzeba odrzucić sprószone dokumenty urodzin i zwykłe banalne miary czasu.

Jest on żywym, bijącym w oczy zaprzeczeniem wszelkiej sędziwości, wszelkiego smętnego starzenia się, wszelkiej melancholii lat podeszłych. W stosunku do niego nie istnieją, rozwiewają się w nicość te pojęcia.

Niewiele zmienił się w zewnętrznym wyglądzie od czasu, kiedy go poznałem. Przybyło mu trochę zmarszczek na twarzy i srebrno-białe ma włosy, ale ta twarz tą samą, co przed laty, odznacza się ciągłą i bujną ruchliwością, w której i nieprzerwane, bystre i czujne wyczekiwanie i nerwowy niepokój, jakby wciąż szukający czegoś nowego i nieznanego, w której dobry dla ludzi uśmiech i śmiała a pogodna dostojność. I któżby mógł uwierzyć, że ten drobnego wzrostu, szczupły, dzielnym krokiem przebiegający ulice Warszawy, a teraz Krakowa, skończył lat dziewięćdziesiąt i w setkę tychże lat zaczął już wchodzić? Zwinny jak żywe srebro wskakuje do jadącego tramwaju, (z wielkim zamiłowaniem czynił to parę lat temu w Warszawie i pewny jestem, że i teraz w Krakowie można go nieraz na tym przyłapać), odbywa, gdy potrzeba, albo i nie potrzeba, piesze kilometrowe wędrówki, śpieszący się, zajęty, stwarzający sobie najróżniejsze zajęcia, gdy normalnych i utęsknionych chwilowo mu zabrakło.

Byle tylko nie siedzieć w miejscu w bezruchu i w bezczynności! Tego to już znieść i ścierpieć w żaden sposób nie może! Tego nienawidzi z całej duszy.

W czymże tajemnica tej żywotności ponad wszelką miarę, tej siły, która na pozór tli się w tym drobnym człowieczku wątłą iskierką, a która w rzeczywistości płonie w nim ogniem niespożytym?

W bezprzykładnej namiętności, w bezgranicznej, fanatycznej pasji, w jakiej ukochał swoją sztukę.

Poza nią nic. Poza nią wszystko inne nieważne i bez wartości.

Miał przed wojną w mieszkaniu swym warszawskim istne muzeum dzieł sztuki, bezcenne zbiory artystyczne i teatralne, gromadzone przez całe bardzo długie życie, prześliczne antyczne meble, obrazy Wyspiańskiego, przedstawiające go w ulubionych rolach, Wiarusa w „Warszawiance", „Strażnika niezłomnego" w „Skarbie" Staffa, Jagiełły w „Nawojce" Rossowskiego, „Chudogęby" w „Wieczorze Trzech Króli"... Spłonęło to wszystko we wrześniu 1939 od niemieckiej bomby, obróciło się w popiół i w perzynę. Nie zasmucił się, nie narzekał. Zniósł tę bolesną stratę półwiekowego życiowego dorobku z najbardziej szlachetnym spokojem. Marzył tylko o jednym: żeby jeszcze grać, grać na polskiej scenie... Po warszawskim powstaniu stracił po raz drugi mieszkanie, z trudem i mozołem zdobyte i urządzone, w którym jako jedyny skarb sztuki z dawnych czasów pozostało jego popiersie w brązie, wykonane ongi przez Ksawerego Dunikowskiego, w znoju i w pocie wygrzebane z gruzów dawnego mieszkania. Przepadło to znów i zginęło bezpowrotnie. W jego wieku każdy inny byłby już zupełnie złamanym starym człowiekiem.

Każdy inny, lecz nie Ludwik Solski!

Nic to wszystko! Ręce się wyciągają, dusza drży do polskiej sceny, jedno w nim jedyne żyje, o niej płomienne marzenie, niepomne na wszystko inne.

Spełniło się to marzenie, jak spełnia się zawsze najszczersza tęsknota, prędzej czy później, na tym świecie, czy też w zaświatach.

Jemu spełniło się tutaj.

Otworzyła mu, dziewięćdziesięcioletniemu artyście, szeroko swoje wrota scena umiłowana.

Otworzyła je na brylantowe z nią gody, pamiętna jego wieczystych dla niej zasług, przede wszystkim dobrze pamiętna tej jego szaleńczej, oddanej do dna duszy, ofiarnej dla niej miłości.

Wszystkie siły niezmordowanie do ostatniego tchu dla niej poświęcał. A najmniejszą nie jest przesadą, gdym napisał „do ostatniego tchu". Zaświadczy o tym bodaj to jedno zdarzenie z życia Solskiego:

Na szereg lat przed wojną grano w Teatrze Narodowym Molierowskiego „Świętoszka" z Solskim w głównej roli. W drugie święto Bożego Narodzenia przedstawienie popołudniowe, oczywiście wysprzedane do ostatniego miejsca. Dzień przedtem Solski zachorował i to bardzo poważnie. Miał gorączkę, ledwie mógł utrzymać się na nogach. (A lat przeszło osiemdziesiąt!). Pomimo błagań i łez żony nie pozwolił uwiadomić teatru o swej chorobie. Nie zerwie przedstawienia. musi grać. Wsiadł do taksówki, pojechał na to przedstawienie. Żona w ogromnym niepokoju telefonuje po pewnym czasie do jego teatralnej garderoby. Odpowiada jej głos ledwie dosłyszalny: „Przyjeżdżaj zaraz, bardzo jest ze mną źle". Przyjeżdża, zastaje go leżącego w fotelu, wprawdzie w kostiumie i w ptruce, ale już słabo oddychającego i sinego na twarzy. Zrozpaczona bije na alarm. Rozpacz, rozruch, zamieszanie za kulisami. Z trudnością znajdują lekarza, który robi zastrzyk wzmacniający jeden i drugi. Solski łapie trochę oddechu. Aktorzy naradzają się, co czynić. Sala przepełniona po brzegi, publiczność czeka na podniesienie kurtyny, dość już niecierpliwa, że widowisko się opóźnia. Czy w ostatniej chwili odwołać przedstawienie? Czy któryś z kolegów odczyta rolę Solskiego, (bo nikt jej nie umie), wytłumaczywszy to uprzednio publiczności? — „Nie odwoła się przedstawienia i nikt mojej roli nie odczyta" — odzywa się słabiutki głos z fotela. — „Będę grał" — głos zaczyna już nieco się wzmacniać. — „Ależ pan kroku nie ujdzie, dyrektorze!" — woła lekarz". — „Więc proszę o jeszcze jeden zastrzyk". Podtrzymują go pod ramiona, prowadzą słaniającego się i chwiejącego do wyjścia na scenę, pewni, że przewróci się, gdy z rąk go wypuszczą. — „Puszczajcie!". Gdy tylko zajaśniał mu blask scenicznych świateł, pewnym krokiem wkroczył na scenę i grał przez dwie godziny, nie schodząc ze sceny. (Naturalnie zmieniono z konieczności układ scen i sztukę skrócono). Odegrawszy do końca rolę, Solski zemdlał. Przypłacił to popołudniowe przedstawienie „Świętoszka" ciężką chorobą.

Były i inne wypadki, gdy szafował siłami bez rachunku i miary, jeżeli chodziło o teatr.

Swego czasu, a więc przed czterdziestu laty, grał w wystawionej we Lwowie „Legendzie" Wyspiańskiego króla Kraka, który w pierwszym akcie jako trup według prasłowiańskiego obyczaju siedzi na drewnianym trójnogu, bardzo wysokim, słuchając pogrzebnych pieśni gęślarzy i czekając, aż przyjdzie po niego i porwie go do Wisły utopione w jej falach wieśniacze wesele. Ten akt trwa półtorej godziny i przez cały ten długi czas musiał Solski tkwić na trójnogu jako martwica, bez najmniejszego ruchu i w najniewygodniejszej pozycji. Mógł go w tym zastąpić pierwszy lepszy statysta. Nie! On gra tę rolę, choć w pierwszym akcie słowem się nie odzywa, i nikt tu za niego grać nie będzie! Gdy akt się skończył, Solski stężał i zmartwiał naprawdę, musiano zdjąć go z trójnoga i z biedą go otrzeźwiono.

Również z dawnych lwowskich czasów fakt z tej samej dziedziny:

Grał w sztuce Björnstjerne Björnsona „Ponad siły". Według akcji scenicznej ma być pod koniec sztuki zastrzelony. Na scenie wybudowane były schody, prowadzące na piętro. Mógł Solski padając od strzału, upaść na piętrze. Nie, to byłaby „teatralna łatwizna", banalność, szablon. Akcję trzeba koniecznie ożywić. Więc zastrzelony runął na wznak i głową w dół, staczając się po schodach i czyniąc to na każdym przedstawieniu stale i niezmiennie. Gdym wyrażał mu z tego powodu obawy, że może przecież na ciężki szwank się narazić, odpowiedział z uśmiechem, że każdy ruch dokładnie ma obliczony, a w innym ujęciu ta scena nie robiłaby na widzach dostatecznego wrażenia.

Nie liczył się także z siłami i w innych jeszcze okolicznościach.

W lipcu 1944 na pogrzebie Adolfa Nowaczyńskiego pierwszy stanął pośród nas kilku, przyjaciół zmarłego, aby trumnę wziąć na ramiona, pomimo owych swoich lat już prawie dziewięćdziesięciu. Inaczej Solski nie byłby Solskim. I niósł z nami tę trumnę, ciężką, jak ciężkie było życie biednego i zawsze odważnego Ady.

Czynił to z przyjaźni serdecznej i pewnie z podzięki za te dwie wielkie role, które dał mu Nowaczyński w „Fryderyku" i w „Dymitrze Samozwańcu". Inna rzecz, że Solski był poniekąd tych obu sztuk współtwórcą, wykroiwszy i wyrzeźbiwszy w kształcie scenicznym z dwustustronnicowych „kronik dramatycznych" Nowaczyńskiego tętniące życiem utwory teatralne.

Przyszły po Solskim nowe już drugie i trzecie czwarte pokolenia aktorskie i reżyserskie. Przyszedł po nim genialny Stefan Jaracz, odkryły się nowe horyzonty teatralnych walorów w koncepcji Juliusza Osterwy i Leona Schillera, odkrywają się inne.

Ale Solski w tradycji polskiej sceny jest i pozostanie jedyny i nigdy niezapomniany.

Wzór najpełniejszego poświęcenia się dla sztuki, przykład niezmordowanej fanatycznej wytrwałości w każdej pracy scenicznej, pomnik szlachetnego i dostojnego gestu w teatrze, w artystycznej wnikliwości i intuicji nieprześcignionej.

A z tysiąca jego teatralnych masek wzierać będą lica pełne wciąż nowej tęsknoty, które są zarazem licami człowieka niezwykłej dobroci i niezwykłego serca.

**Juliusz German**

---

## Gałczyński żyje!

Z prawdziwą radością podajemy otrzymaną z najbardziej miarodajnych źródeł (od żony Poety) wiadomość że Konstanty Ildefons Gałczyński żyje i przebywa obecnie w Meppen (miejscowość graniczna holendersko - niemiecka).

Gałczyński przebywał w Altengraben, skąd za znaleziony wiersz „Pieśń o fladze" został wywieziony do obozu karnego.

Gałczyński w przesłanych od siebie wiadomościach podaje, że jest zdrów, czuje się doskonale. Wiadomości te pani Gałczyńska otrzymała również od przybyłej do Polski ekipy Schillera.

---

## Kto głosował za nowym prawem małżeńskim

Z Sekretariatu Gener. Stronnictwa Pracy nadesłano nam następujący komunikat z prośbą o umieszczenie:

Na posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej w dn. 3 b. m. wśród wielu zgłoszonych do zatwierdzenia dekretów rządowych, znalazł się również dekret o prawie małżeńskim.

W związku z powyższym, w imieniu części posłów Stronnictwa Pracy, poseł Turowski Konstanty zgłosił następujące oświadczenie:

„Niżej podpisani posłowie Stronnictwa Pracy, uznając konieczność unifikacji prawa małżeńskiego na terytorium całego państwa, stwierdzają, że niektóre jednak postanowienia dekretu rządowego o prawie małżeńskim przekreślają zasadę nierozerwalności małżeństwa, co jest sprzeczne z podstawowymi założeniami ideologii Stronnictwa Pracy. Wobec tego niżej podpisani posłowie głosować będą przeciw wnioskowi o zatwierdzenie tego dekretu".

Oświadczenie powyższe podpisali posłowie S. P.: K. Popiel, J. Kwasiborski, A. Antczak, K. Kumaniecki, St. Bukowski, K. Turowski.

W imieniu pozostałych posłów S. P. złożył oświadczenie pos. Felczak, który podając zbliżone motywy, oświadczył, iż pozostali posłowie nie mogą głosować za wnioskiem o zatwierdzenie dekretu. Do posłów tych należy: Felczak, Widy-Wirski, Michejda, Lityński, Dominski, Tilgner oraz Brzeziński i Małolepszy, którzy weszli do K. R. N. z Centralnej Komisji Związków Zawodowych i wstąpili do Klubu posłów S. P.

Nieobecni byli posłowie S. P. Nowakowski i Maciejewski.

W czasie głosowania za wnioskiem o zatwierdzenie dekretu wypowiedziały się z aplauzem Kluby: P. P. R., P. P. S., S. D., S. L. i P. S. L. Jedynie sześć głosów wypowiedziało się zdecydowanie przeciwko dekretowi.

Uwaga Redakcji: Według zwyczajów parlamentarnych wstrzymujący się od głosowania, o ile znajdują się na sali, uważani są za głosujących za projektem.

*Jan Dobraczyński*

# Ci chłopcy...*)

Ludzie opuszczali mieszkania! Słychać było wielokrotne otwieranie i zamykanie drzwi, stąpania po schodach, drżące podnieceniem głosy dorosłych i piskliwe popłakiwania dzieci. Mężczyzni często ubrani w dwa palta jednocześnie, objładowani walizkami, rzucający na boki trwożliwe spojrzenia, kobiety nagle rozpaczliwie stanowcze, o oczach nabrzmiałych łzami, które lada moment mogły wybuchnąć, dzieci brutalnie wytrącone ze snu mało przytomne, plączące się u nóg rodziców lub dosypiające lekkomyślnie w ramionach matek. Ciemny tłum wywalał się z bram na ulicę, lękliwie spływał falą tuż pod murami kamienic. Na ulicy już nikt nic nie mówił — idący ludzie byli tragicznie milczący. Zresztą wartownik przy bramie ostrzegał: „Bądźcie państwo cicho" — dwaj inni na rogu Hipotecznej, wskazywali bez słowa kierunek ręką.

Wszyscy odchodzący zamykali za sobą starannie mieszkania, rozglądając się wstydliwie, kilkakrotnie sprawdzali zamki. Pokrzykiwali gniewnie na siebie, szturchańcami poganiali dzieci. Niektórzy z nagłą energią zbiegali do piwnic i w ich pojęciu ukradkiem, a właściwie na oczach wszystkich — coś zagrzebywali w ziemi — zresztą płytko i niezdarnie.

Chłopcy patrzyli ciekawie na odchodzących. Trudno jest zdać sobie sprawę z uczuć, których każdy z nich doświadczał. Była to mieszanina podniecenia i dumy z tego, że już tylko oni pozostali na stanowisku, z odrobiną smutku wywołanego osamotnieniem, zlepek zadowolenia z podjętego obowiązku z trochą — jakby goryczy — na widok starannie ryglowanych drzwi. „Baran" który siedział w zagłębieniu bramy i przy blasku świeczki reperował swój miotacz ognia, spluwając raz po raz, powiedział filozoficznie:

— Teraz oni zamykają, potem my będziemy otwierać... Oni wiedzą, że tak będzie, ale wolą o tym nie myśleć. Bo to przecież rzecz nieprzyjemna wiedzieć, że ktoś ich własne mieszkanie „szabruje"...

Po raz pierwszy zjawił się w ich języku ten wyraz. Bóg raczy wiedzieć skąd się wziął. Wypłynął nagle na powierzchnię życia i od razu siłą śmieszności — zyskał sobie prawo obywatelstwa.

Na parterze mieszkała para starszych państwa, ich córka i wnuczka. Namyślali się długo nad wyjściem. Dziadek — z siwymi, zamaszystymi wąsami, w dużym fotelu już całkiem gotowy do drogi — w czapce na głowie w grubej bonżurce na ubraniu z laską w ręku. Obok niego siedziała na brzeżku tapczana — niby ptak, gotowy do lotu — jego żona, czarno ubrana, mała staruszka. Siedzieli i czekali w bolesnym otępieniu, zda się nie widząc córki, która podniecona i zgorączkowana, przerzucała rzeczy z miejsca na miejsce.

W tym to mieszkaniu mieścił się punkt sanitarny kompanii. Kierowała nim sanitariuszka Zosia, prawie lekarz (dwa lata medycyny na konspiracyjnym uniwersytecie). W tej właśnie chwili w blasku dwóch świec, tkwiących we wspaniałym, siedmioramiennym świeczniku, z pomocą Ewy i Krysi opatrywała Jurka. Pod ścianami siedzieli koledzy rannego, dorzucając do operacji swoje wesołe uwagi.

— Nie wykręcisz się Jurek — drażnił kolegę zezowaty Krzyś, piastując w rękach jurkowego Bergmanna — zaraz cię odeślą na Kilińskiego, do szpitala.

Zosia akurat przemywała rivanolem dwie małe ranki po obu stronach ramienia i ugniatała palcami opuchnięty staw. Jurek był bliski syknięcia, ale usłyszawszy zaczepkę Krzysia, zapomniał o bólu.

— Zwariowałeś?! Nie pójdę do szpitala!

— Pójdziesz, jak ci każą, pójdziesz. Masz na pewno strzaskaną kość. A ja wezmę Bergmanna...

— Mówię ci, do cholery, że nie pójdę!

— Nie kręć się, Jurek, bo cię zbadać nie mogę! — krzyczała gniewnie Zosia.

— Bo ten idiota...

— Idiota, nie idiota. Ty stój spokojnie!

Z powagą dalej obmacywała ranę, dotykała ramienia ze wszystkich stron.

— Tu cię boli? A tu? A tu?

Była bardzo zmęczona i czuła w głowie chaos. Nie umiała sobie przypomnieć co oznacza ból w tym, a co w tamtym miejscu. Wspomnienie wykładów chirurgii zasnuł mrok. Próżno usiłowała wyłowić z pamięci jakąś zasadę.

— To nie jest wykluczone, że masz kość strzaskaną... Ale bez rentgena nic powiedzieć nie mogę...

— Na pewno ma — odpowiadał Krzyś — wyślijcie go do szpitala.

— Zamknij się, ty idioto! Słyszałeś?!

We trzy poczęły bandażować chore ramię. Rozrywając pakuneczek osobistego opatrunku, Zosia uświadomiła sobie, że zostały jej w torbie tylko trzy. Do licha! — tylko trzy! Zwróciła się do swoich pomocnic:

— Ile macie jeszcze oparunków osobistych?

Poczęły liczyć. Było tego bardzo niewiele.

— Kilka jest w torbie, którą włożyłaś pod głowę Hanki...

— Racja.

— No a najwięcej wzięła ze sobą Lusia. Miała prawie połowę kompanijnej apteczki. Plastry, bandaże usztywniające.

— Rzeczywiście!

Ale nie tyle świadomość utraconego zapasu środków opatrunkowych, ile raczej wspomnienie zaginionej koleżanki. sprawiło, że twarze trzech dziewcząt ogarnął smutek. Wszystkie tak bardzo lubiły małą Lusię. Kompania poniosła już wiele strat, ale wśród nich nie było jeszcze zabitych dziewcząt. A tu dziś od razu dwie: najlepsza łączniczka Hanka i taka dobra sanitariuszka Lusia.

— Jesteście niedołęgi — Zosia zwróciła się do chłopców. Dziewczyna zginęła, a wy nawet nie wiecie gdzie i kiedy.

Nie odpowiedzieli. Ich już i przedtem dręczyła świadomość, że pozwolili zgubić się na tamtym podwórzu Lusi i „Musze". Zwłaszcza „Mucha"... Lusię bardzo lubili. Była cichą, dobrą, bardzo uczynną dziewczyną. Ale „Mucha" to był naprawdę ich dowódca. Póki żył, nie cenili tego. Drażnił ich swoją postawą trochę opryskliwego i nigdy nie dość zadowolonego zwierzchnika. Ale teraz, gdy „Muchy" zabrakło, wyczuli, że w ich zespole zabrakło kogoś bardzo ważnego.

— To Juliusz — burknął któryś — kazał się tak szybko wycofywać. I „Mucha" został, i Lusia na tym sakramenckim podwórzu... Taki morowy chłop!

— Fajny typ — przytakiwali inni.

Dziewczęta skończyły z bandażowaniem ramienia Jurka.

— No — pytała się Zosia — jest tam jeszcze który do opatrunku?

Nie było nikogo, a właściwie to by nawet wolała, aby jeszcze znalazła się jakaś rana. Póki widziała przed sobą poszarpaną skórę, rozdarte ciało, bielejącą w głębi krwawej dziury kość, umiała się skupić i tak jakoś oszukać zmęczenie, ale gdy tego napięcia zabrakło, wszystkie mięśnie od razu zwisły. Osunęła się ciężko na fotel.

— Ewuś — masz może coś do picia?

— Jest wino...

Chłopcy, którzy chodzili po żywność, przynieśli dzban czerwonego, kwaśnego wina. Na zmęczenie i na stałą, palącą wargi i gardło gorączkę walki nadawało się ono doskonale. Ale Zosia potrząsnęła głową.

— Wina nie... To głupstwo, nie kłopocz się. Zejdę potem do piwnicy i napiję się wody.

Jurek odebrał z rąk Krzysia swego Bergmanna. Zobaczył wlepiony w siebie z kąta uporczywie oczekujący wzrok. Doskonale zrozumiał wymowę tego spojrzenia.

— Chciałeś, Wojtek, abym ci pokazał, jak się z tej maszyny wali — powiedział łaskawie. — To chodź.

Mały harcerz podszedł ku niemu uśmiechnięty. Z nabożeństwem wziął z rąk starszego przyjaciela broń. Siedzące wokół pokoju grono wybuchnęło żartami:

— O rany gorzkie! Zobaczycie że w nas zapierdolą.

— Nie trzymaj peemu jak miotły. Więcej szacunku!

— Jak babcię tropcię kocham... Uczył Marcin Marcina...

Jurek nie zwracał uwagi na te zaczepki. Z powagą instruktora pokazywał Wojtkowi.

— Widzisz, o tak się wyciąga magazynek. Teraz już nie wystrzeli. Zajrzyj do środka, bo może być ładunek w lufie. Śmiało, rączka do tyłu...

Z podwórza przez okno dobiegł do nich głos księdza Marka.

— Czy nie ma tam u was małego Wojtka?

— Jest, proszę ojca.

— To niech idzie zaraz na górę do kapitana „Kraka".

Wojtek wyszedł. Grono chłopców i trzy dziewczęta siedziało nadal w pokoju na parterze. Ten i tamten poczynał drzemać. Rozmowy się rwały. A mimo to nie chcieli spać. Uważali, że żołnierzy takich jak oni sen nie powinien się imać. Budzili się wzajem.

— Mirek! Ty już kimasz?

— Ja? Skądże znowu! Mogę nie spać i trzy noce!

— Gadanie!

— Słowo honoru...

Przez pokój przeszła matka dziecka z walizką w ręku. Otworzyła szafę, poczęła z niej wybierać jakieś rzeczy. Westchnienia ciężkie jak szloch, wydzierały się jej z piersi. Kiedy wyszła, powiedział Zbyszek:

— Żal mi cywilów...

Kazik „Aster" wzruszył ramionami:

— A mnie nie. Dlaczego mam ich więcej żałować niż nas? Nie biją się...

Tutaj wszyscy zaprotestowali:

— Et, pieprzysz! Właśnie jak się nie biją, to im źle! Lepiej sterczeć na pozycji, niż tam, na tyle w piwnicy.

— Żreć nie ma co...

— Pewnie. Ty Kazik gówno wiesz.

— Jak masz choć granat w ręku, to się bijesz i nikogo się nie boisz. Ale jak niczego nie masz, to się musisz bać.

— Posiedź tak w piwnicy, jak ci nad głową zaiwaniają Stukasy!

— Albo jak „szafy" łupią!

Kazik był przegadany, więc nie próbował bronić swego stanowiska, ale z talentem zręcznego dialektyka, postanowił oddalić od siebie i swego niefortunnego występu powszechną uwagę:

— A nasz Mieteczek naturalnie czyta!

Rzeczywiście: Mietek czytał! Siedział przy stole nad otwartą książką i w jakimś zapamiętaniu wodził spojrzeniem czarnych oczu po jej stronicach. Do tego stopnia zdołał się oderwać myślowo od otoczenia, że choć kilkakrotnie na niego wołano, nie słyszał krzyku kolegów. Wreszcie zdołano go jednak wyrwać z zaczarowanego kręgu.

— Czego chcecie? — pytał szorstko, przeczuwając zaczepkę.

Wybuchnęli śmiechem. Tylko „Klawisz", niepoprawny kpiarz tonem sztucznej powagi i zainteresowania zapytał:

— Znalazłeś coś ciekawego?

Z twarzy Mietka zniknął szorstko-wrogi wyraz. Ten wieczny samouk żył ciągłym złudzeniem, że ktoś jednak podziela jego gorączkowe zainteresowania. Zwłaszcza, że „Klawisz", przy całej swej kpiarskiej naturze, przy bardziej niż innych brutalnym języku, był przecież chłopcem naprawdę inteligentnym, który dużo czytał i dużo wiedział.

— Tak — powiedział — leżała tu w jednym mieszkaniu: Carcopino „Codzienne życie w Rzymie cesarskim". Bajecznie ciekawe!

Chłopcy dusili się od śmiechu. Nawet „Klawisz" z trudem panował nad niepohamowanym wybuchem wesołości. Jakiż ten Mietek jest zabawny! Dziś gdy życie jest takie ciekawe, trzymać nos wetknięty w książkę!

— Pozatym — dodał Mietek wciąż tonem nieugiętej powagi, a jednocześnie rozbrajającej szczerości — wprawiam się we francuskim...

To była jeszcze jedna mania Mietka: pragnienie władania jak największą ilością języków. Niestety, nie miał szczęścia jak „Klawisz" uczyć się języków w domu. Wszystkiego dochodził powoli, sam, idąc uciążliwie przez życie. Ale dla chłopców był to jeszcze jeden powód do pękania ze śmiechu.

— Słuchaj, Mietek — powiedział Kazik — widziałem gdzieś w śmieciach słownik węgierski. Może byś go poczytał?

— Przeczytaj sam! — wybuchnął nagle wyprowadzony z równowagi Mietek. — Może zmądrzejesz!

Śmieli się wesoło ze sporu tych dwóch, aż wreszcie któryś z kąta powiedział:

— Eh, uspokójcie się! Akuratnie jest czas na głupie ryki!

Ucichli. Chłodny wiew melancholii spłynął na nich równie niespodziewanie, jak poprzednio fala wesołości.

— Tak. Po cholerę się śmiać gdy tylu naszych padło. I „Mucha"...

— Nie wielu nas zostanie...

— Skądżeś taki pewny, że zostaną? Może kipniemy wszyscy...

— Ale co Niemców przed tym nabijemy!

— Pewno. To najważniejsze.

— Ja ich mam trzech na sumieniu.

— Ba, ja czterech!

— Ja pięciu!

— A ty, „Baran?".

Spojrzeli ciekawie na „Barana", który przyszedł niedawno do pokoju i siedząc w kącie, giął pracowicie jakąś blachę.

— Ja?... — pochylony nad swoją robotą zwlekał z odpowiedzią. — Ja dwudziestu siedmiu. Ale Józiek miał więcej...

— Choroba! — zaklęli z uznaniem.

Chłopak odginał scyzorykiem płatki blachy. Kazik zainteresował się nagle tym, co tamten robi.

— Co to będzie? Powiedz...

„Baran" czas jakiś bez słowa przyglądał się swemu dziełu. Jego chude policzki drżały gorączką tworzenia, w dużych, jasnych oczach płonął ogień. Odgarnął do tyłu złotą czuprynę, obtarł dłonie o spodnie.

— Wiesz... Jak Goliat jedzie i trzeba cisnąć granat w kabel... to jakby była taka łopatka, można by na niej granat podsunąć... Kapujesz?...

Kazik był oszołomiony pomysłowością kolegi. Jego własna pomysłowość skierowana była w zupełnie innym kierunku: nie umiał rzeczy robić, natomiast umiał rzeczy sprzedawać.

— Cwaniak z ciebie! — rzekł — Chcesz ją osadzić na kiju?

— A jakżeś myślał?

— Nie... — no właśnie tak myślałem. Ale jeżeli położysz granat odbezpieczony...

— Położę zabezpieczony.

— To jak go potem odbezpieczysz?

Tonem wyższości twórcy nad zwykłym kalkulatorem powiedział:

— Zobaczysz!

Mirek zasnął na dobre i zwalił się ciężko na ramię małego „Temistoklesa", szefa łączników. Ten wstał wśród wybuchów śmiechu, pozwalając, aby Mirek obsunął się na tapczan. Pomimo tego, tamten wcale się nie obudził. Leżał z głową przy kolanach, chrapiąc głośno. Chłopcom wydało się to bardzo zabawne.

Zosi, która siedziała głęboko w fotelu i mrugała oczyma, na które wciąż zsuwały się ciężkie, niby z ołowiu powieki, ich wesołe okrzyki przypominały dawne dni wycieczek, zlotów, Jamboree... Wsparła głowę na dłoni i zapatrzyła się w przestrzeń. Boże — jak to dawno... Szara drużyna dziewcząt idzie szosą w takt piosenki. Wzgórza zielone, aż prawie szmaragdowe, spływają ku nim szachownicą pól. Daleko czarny las kiwa radośnie na powitanie gałęźmi.

...jak miło nam
wędrować nocą...

Gdzieś pojedyńczy strzał — i zaraz rwie się nić wspomnień. Dziewczyna wyprostowuje się na fotelu. Nie ma zastępu w szarych mundurkach. Jest walka twarda, nieustępliwa, okropna, konieczna. Właśnie konieczna. Młodej medyczce nie przedstawia się to dostatecznie jasno, dlaczego ta walka musi być, ale wie, że tak jest... Ta walka musi być,

Nagła cisza w pokoju oświeconym dwiema świecami; krąg twarzy stygnie w jakimś nagłym oniemieniu. Zosia mruga prędko powiekami. Czyżby to ona powiedziała coś głośno, co wywołało tę ciszę?

„Baran", gnąc blachę w swych długich palcach, nigdy niedomytych, mówi z nieoczekiwaną stanowczością:

— A pewnie, że musi być!

Na półdziecinnych twarzach pojawia się wyraz uporu, nieomal zawziętości. Głowy kiwają się, potakują. Ależ naturalnie: nikt tutaj konieczności walki nie zaprzecza. Miesiąc upłynie, a ostatnie niedobitki kompanii „Wacława", walcząc w ruinach kościoła św. Krzyża dalej będą święcie wierzyć, że tak być musiało. Nie ma rady: przemoc wyzwala odpór, gwałt odbija się gwałtem. Nie ma rady: ci smarkacze na tę właśnie wyprawę czekali. Karabin był nabity i wystrzelić musiał. Ktoś nacisnął spust — za wcześnie czy za późno — i strzał padł. Lawina poleciała w dół. Nie ma rady: nie mogło być już pokoju. Jest wojna!

— Macie też o czym mówić? — „Dodo", wysoki, chudy podchorąży już prawie inżynier, odezwał się z kąta. Mnie się zdaje, że to takie same gadanie, jak o tym co by było gdyby ciocia miała wąsy... Jak jest wojna, to trzeba się bić. Wiadomo... Wojny się bez walki nie wygła („Dodzie" litera r sprawiała zawsze nieco kłopotu). Dulnie myślą inaczej... — wzruszył ramionami na znak pogardy.

— Ale jeżeli Niemcy są tacy silni? — powiedziała Zosia. Przez dziewczęcą przekorę pozwoliła sobie na wypowiedzenie tej wątpliwości.

— Eh! — wybuchnął Jurek — Też powiadasz! Jaka tam ich siła?!

Wszyscy poczęli mówić jeden przez drugiego.

— Jurek ma rację. Co za bajanie o ich sile!

— Zośka, czyś ty z byka spadła?

— Znalazła się dopiero! Siła? Też coś podobnego! Oni mają tylko Tygrysy, Pantery i dużo amunicji...

I w jakimś gwałtownym wybuchu protestu prezciwko wszelkim wątpliwościom i wszelakiemu zwątpieniu, zaśpiewali hałaśliwie piosenkę, ułożoną kiedyś na prędce przez brata „Barana" do melodii marsza marynarzy:

Może,
będzie gorzej,
może będzie całkiem źle!
Lecz my wiemy, że wytrwamy
i że wygramy
całą kampanię!

Poderwało to ich na nogi — sen odszedł. Trącali się ramionami, aby ze śmiechem pokazać sobie Mietka, siedzącego przy świecy nad swoim Carcopinem z wciśniętymi w uszy palcami. Nawet się Mirek obudził i przyłączył do śpiewu:

— A co teraz będziemy śpiewali? — dopytywała się Krysia, gdy skończyli marsza marynarzy. — Śpiewajmy! Śpiewajmy! Tak dawno nie śpiewaliśmy.

„Klawisz" zaintonował:

Raz batalion Uderzenia,
kiedy walił po przez wieś...

Z tą piosenką wtargnął w pełne pyłu, szkła i gruzu podwórze wiew wiosny i przestrzeni. Swawolna piosenka zdawała się rozsadzać ciasnotę murów. Śpiewali ją wszyscy. Szczepko, siedząc między „Klawiszem" i Jurkiem, podniósł ku górze swą przystojną twarz — z tymi nigdy z niej nie znikającym lekko ironicznym półuśmiechem — i śpiewał pełną piersią. Śpiewał jak się śpiewa we „Lwowi", z przydechem, nieporównanie buńczucznie:

O Natalio, o Natalio —
bez pamięci cię uwielbia nasz batalion
O Natalio, o Natalio —
to się musi skończyć raz
wybierz wreszcie kogoś z nas
i potraktuj go na serio
i nad wdzięków swych imperium
zapanować komuś daj!...

Twórca piosenki dawno już nie żył, przeszyty kulą tępego, niemieckiego żołdaka, który doń strzelił, gdy tamten składał kwiaty u stóp pomnika genialnego astronoma. Piękna Natalia walczyła gdzieś na Woli, a potem nie wiadomo co się z nią stało. Władcze słowo — imperium — utraciło swój, patetycznie urzekający ton, stało się jeszcze jednym z prostych, zwyczajnych słów, o które się walczy. Są bowiem dni, kiedy kolorowe fantazje poetów stają się chlebem powszednim dzieci, są bowiem chwile, gdy patos słów nasiąka żywą krwią.

Nie ma nic tragiczniejszego jak podziemia — jak suteryny ducha, w których wyrasta młodość. Młodość kocha słońce i czerwoną krew, a podziemia są czarne. Tylko ten, kto doświadczył błogosławieństwa walki orężnej — w polu — tylko ten zachłysnąć się potrafi marzeniem o barwie rzeczywistości.

Śpiewali i śpiewali, a piosenka porywała ich i ponosiła. Wrogowi na złość darli się z całej piersi. Lecz kiedy tak śpiewali, niepostrzeżenie stanął w drzwiach ksiądz Marek. Na twarzy miał wyraz zmęczenia i jakby żalu, że przyszedł przerwać ich śpiewanie.

— Słuchajcie, chłopcy — powiedział, gdy się uciszyło — trzeba się zająć pogrzebem naszych kolegów...

Dźwignęli się ciężko. Nagle na ich trzepoczące się serca spadło ciężkim ołowiem brzemię sytuacji. Powłócząc nogami, wychodzili kolejno za księdzem na podwórze.

**Jan Dobraczyński**

*) Fragment powieści p. t. „W rozwalonym domu", która się ukaże w najbliższym czasie nakładem „Czytelnika".

*Maria Kędziorzyna*

# O literaturze dla dzieci

W „Obrazie Współczesnej Literatury Polskiej“ K. Czachowskiego (tom drugi, str. 265) można wyczytać o literaturze dziecinnej takie słowa: „Nie tu miejsce na zajmowanie się t. zw. literaturą dla dzieci, tym beznadziejnie zachwaszczonym polem, po którym bobrują bezkarnie grafomani rozmaitego pokroju, lekkomyślnie reklamowani przez wydawców, a co z przyczyn wychodzących poza zakres naszych rozważań, rzadko bywa przedmiotem rzetelnej oceny krytycznej. Nie podejmując się wygrzebywania pereł z tego całego śmietnika, pomijając nawet tak niewątpliwe talenty, jak Zofia Rogoszówna — „Pisklęta“, czy później Zofia Żórakowska — „Pożegnanie domu“ i in., choć pokrótce trzeba się zająć pisarzem, którym był J. Korczak. W dalszym ciągu K. Czachowski zajmuje się Korczakiem, ale ze stanowiska tego autora nie jako pisarza dla dzieci, ale o dzieciach.

Warto się zastanowić nad wypowiedzią Czachowskiego. Bo chociaż owe smutne zdania były napisane przeszło dziesięć lat temu, to mam wrażenie, że od tego czasu nikt nie wygłosił innych poglądów, ani nawet nikt nie zapytał się, dlaczego Czachowski doszedł do tak czarnych konkluzyj i czy ma rację.

Czy zagadnienie jest tak błahe, że zasługuje na lekceważenie?

Wielu psychologów i pedagogów radziło dawniej i radzi wciąż coraz intensywniej nad nowymi systemami w szkolnictwie, nad udoskonalonym wychowaniem młodzieży pod słusznymi hasłami: „dziecko to przyszłość narodu“, „jaka młodzież, taki naród“. A Ministerstwo Oświaty i przed wojną i teraz troskliwie przegląda książki dla dzieci i klasyfikuje je, jako „obowiązujące“, czy „dozwolone“ dla bibliotek szkolnych.

Oczywiście wybiera spośród tych, które się ukazują na rynku księgarskim.

Mając na uwadze zdanie Czachowskiego, można sobie zadać pytanie: Jaką wartość mają owe książki „dozwolone“ i „obowiązujące“? Czy są one ostatecznie nienajgorsze, czy są zdecydowanie dobre? Czy Czachowski się myli? I jakie są kryteria dobrej książki dla młodzieży?

Nie będziemy się w naszych rozmyślaniach zatrzymywać na książkach, wybranych przez najwyższe instancje państwowe, bo nie moglibyśmy dostatecznie jasno odpowiedzieć na postawione pytanie. Ministerstwo Oświaty przed r. 1939 wybierało dla szkół co innego, a teraz wybiera co innego. Przykład „perły“ „Pożegnanie domu“ Żurakowskiej — w chwili obecnej nie jest aktualny z punktu widzenia najwyższych władz szkolnych.

Musimy więc oprzeć się na takich przesłankach, któreby nas nie zawiodły. Musimy znaleźć taki sposób oceniania książek dla dzieci, który był odpowiedni lat temu dziesięć, teraz i za dziesięć lat też i zawsze.

Czachowski powiedział: „t. zw. literatura dziecinna“. Rzucił lekceważące słowo „grafomani“. Wynikałoby z tego, że prawdziwej literatury dla dzieci niema. Jest „tak zwana“.

Czy wartościowa literatura dla dzieci powinna się opierać na tych samych podstawach, co poważna literatura dla dorosłych? Czy składnikami jej ma być też nienaganna i ciekawa forma dobra konstrukcja i przede wszystkim zagadnienie rozwiązane logicznie?

Oczywiście, tak. Tylko że forma musi być dostępna dla dzieci, konstrukcja prosta, zagadnienie jasne. Autor książki dla młodzieży jest skrępowany tymi trzema czynnikami. Nie wolno mu myśleć przede wszystkim o sobie, o swoim indywidualnym obliczu artystycznym. Równocześnie nie wolno mu przestać być sobą. Ale zasiadając do pisania, musi sobie powiedzieć: jestem ja i dziecko.

Więc jak powinna wyglądać forma? Co to znaczy dostępna? To znaczy że nie można pisać stylem suchym, podręcznikowym i konwencjonalnym. Równocześnie nie wolno robić eksperymentów. Zdania powinny być jasne, proste i niezawiłe. Muszą się składać ze słów zwyczajnych i używanych przez dziecko, ale poprawnych i bez naleciałości obcych. Pozatym, dobry pisarz dla dzieci nigdy nie traktuje swoich czytelników jako rozkosznych i zabawnych „milusińskich“, na których można patrzeć z góry, ale z pobłażliwym uśmiechem. Dzieci trzeba uważać za małych ludzi i podchodzić do nich na serio w kręgu ich zainteresowań i przeżyć.

A prosta konstrukcja? To akcja przejrzysta, rozwijająca się w czasie kolejno, bez wstawek nawracających ku przeszłości, bez przeskoków w przyszłość. Bieg wydarzeń zwarty, bez przeładowań opisowych i przede wszystkim nie operujący tłumem bohaterów. A jeżeli treść książki wymaga większej ich liczby, muszą być wyraźne granice między postaciami pierwszoplanowymi, a drugoplanowymi, czy epizodycznymi. Różnice muszą być uwypuklone wyraźniejszym rysunkiem i odpowiednią różnicą w dystansie między bohaterem książki, a małym czytelnikiem.

Wreszcie sprawa najważniejsza: zagadnienie, czyli wybór tematu. Jakie tematy decydują o wartości książki? Tematy książek dla dzieci można podzielić na kilka zasadniczych grup: realistyczne, fantastyczne, historyczne, podróżnicze i „[illegible]owe“.

Realistyczne opisują jakieś zdarzenie z codziennego życia dzieci z rozmaitych środowisk. Występują one tam obok dzieci i starsi, ich prace, tło, na jakim żyją. Zdawałoby się napozór, że temat jest łatwy do rozwiązania. Poprostu można pisać to, co się widzi. Ale łatwe to tylko napozór. W takim temacie „zwyczajnym“ kryje się pełno zasadzek. Autor książki dla dorosłych, który czerpie temat „z życia“, może to życie przedstawić takim, jakim je widzi. Autor, który pisze dla dzieci, musi się głęboko nad tym zastanowić, jakimi oczami ma patrzeć na zjawisko przeżyć opisywanych. Musi być szczery i prawdomówny — jednak nie może pisać wszystkiego, co jest dostrzegalne dla starszych. Nie powinien malować rzeczywistości tylko na różowo, a nie wolno mu być pesymistą. Powinien pokazać dziecku nie tylko śmiech, ale i cierpienie. Powinien wyjaśnić przyczynę cierpienia. Może opisywać szczęście, ale i krzywdę. Dać radę, jak naprawić krzywdy wyrządzone. Nie wolno mu pozostawić dziecka w przygnębieniu po zamknięciu książki, lecz nie wolno z tematu usuwać spraw smutnych i przykrych. Mały czytelnik musi rozumieć skąd się zło wzięło i wierzyć, że da się je usunąć. Literatura dla dorosłych pozwala sobie na rzucone pytania bez odpowiedzi, na smętną zadumę nad beznadziejnym tragizmem ludzi i spraw. Literatura dla dzieci musi być bez znaków zapytania i musi stwierdzać wyraźnie, że ludzie mogą być dobrzy, a świat musi być piękny.

Następny rodzaj tematów, to fantazje. Baśnie, bajeczki i bajdy. Teren niesłychanie śliski i karkołomny. Autor musi mieć bardzo rozwinięte poczucie równowagi i zdrowy rozsądek, przy dużej dozie poetyckiej fantazji. Bo takie napozór wolne „baj-baju“ może zaprowadzić ofiarę, czyli małego czytelnika na manowce, albo uczynić go kaleką. Fantazja musi być piękna i czysta, wyprana dokładnie z okrucieństwa i wszelkiego makabryzmu. Musi mieć swój cel sens. Musi być pozbawiona banału, a równocześnie i niezdrowej sensacji. Bajka powinna być taka, aby dziecko mogło usnąć z uśmiechem i nie zrywać się we śnie przerażone. Bajka powinna wiązać się z życiem, pokazywać, że i codzienność może być piękną bajką. Bajka ma możność pokazać bez trudu dobroć, miłość, poświęcenie i bohaterstwo. Elementy fantazji muszą być swojskie i znajome dziecku.

Powieści historyczne dla młodzieży to też nie tak łatwy problem. Historia musi być bez kłamstwa, ani bez tendencyjnych naświetleń. Nie można podmalowywać zanadto szerokiego tła, ponieważ dziecko gubi się w natłoku faktów. Musi być wyraźnie zaznaczona linia pomiędzy postaciami historycznymi, a fikcyjnymi bohaterami. Akcja musi być żywa i jasno rysująca wypadki — a przeprowadzona subtelnie, jeśli chodzi o sceny bitew, które zwykle pławią się we krwi i wypaczają pojęcie bohaterstwa. Pozatym wybór zagadnienia, czy momentu historycznego powinien być brany z punktu zainteresowań dziecka.

Dwa następne rodzaje powieści dla młodzieży: podróżnicze i z dziedziny wiedzy, można omówić wspólnie. Nastrój takiego utworu bywa zwykle jednostronny: pokazuje: objaśnia, opisuje. Różnica jest zasadnicza. Powieść podróżnicza bywa narażona na niebezpieczeństwo gorączkowej sensacji, powieść „naukowa“ często grzęźnie w nudzie. Niełatwo jest znaleźć złoty środek: spokojne zainteresowanie, zachęcające młodego czytelnika do dalszych kroków w tym kierunku.

A wszystkie książki dla młodzieży, czy te zwyczajne, czy historyczne, czy baśnie muszą się starać o spełnienie jeszcze jednego ważnego celu: pogłębić psychikę dziecka. Pozwolić dziecku dojść do jakiejś nowej prawdy, nie powierzchownej, np. nie takiej, że na biegunie jest zimno, a król Kazimierz Wielki zostawił Polskę murowaną. To nie są wewnętrzne prawdy i to nie wzbogaca duszy dziecka, ale rozszerza jego wiedzę. Tego dowie się w szkole od nauczyciela. Chodzi o to, żeby książka dawała dziecku sposobność do samodzielnego myślenia, do rozwiązywania zagadnień etycznych i społecznych. Żeby te odkrycia były dokonywane przez dziecko samo, a nie narzucane w formie senzacji, czy morału. Trzeba, aby prawda była własnym przeżyciem małego czytelnika, a nie wyuczoną lekcją.

Jeżeli spotkamy książkę dla dzieci, odpowiadającą tym trudnym wymaganiom, możemy stanowczo stwierdzić, że to nie jest „tak zwana“ literatura dla młodzieży, ale literatura wartościowa i poważna. Jeżeli znajdziemy takich książek wiele, powiemy z radością, że Czachowski omylił się, pisząc o zachwaszczonym śmietniku i o grafomanii.

Tak, ale Czachowski wspomina, że są i perły. Nieliczne wyjątki. Niekorzystnie wyraża się o wydawcach. Czy ma słuszność? Czy jest wiele książek w nowej literaturze dla dzieci, które odpowiadają wymaganiom Czachowskiego i naszym? Czy rzeczywiście wydawcy reklamują śmiecie, niegodne poważnej krytyki?

W tym miejscu zmuszeni jesteśmy zadać sobie pytanie: kto to jest wydawca i czym się kieruje, gdy klasyfikuje książkę dla dzieci?

Powiedział raz jeden wydawca do autora:

— Proszę pana, my inaczej patrzymy na książkę niż pan. Dla nas to stanowi towar i nic więcej.

Ten wydawca był człowiekiem uczciwym, bo miał odwagę wypowiedzieć otwarcie swoje „credo“. Czy wszyscy są tacy, czy to był wyjątek?

Można sobie odpowiedzieć na to pytanie, jeżeli się wstąpi do księgarni i przeglądnie książkę dla dzieci.

Wtedy się zobaczy, jaki ten „towar“ jest.

Czy wydawcy muszą go reklamować, wedle zdania Czachowskiego, czy jakość usprawiedliwia reklamę?

Dlaczego Czachowski twierdzi, że reklama jest lekkomyślna?

W księgarni leżą przed nami książki dla dzieci. Leży ich wiele. Dużo „wierszykowych“, dużo tłumaczeń z obcych języków. Są także książki podróżnicze, baśnie i powieści „z życia“.

Nazwiska autorów znane i nieznane.

Trudno się zorientować, na czym polega wybór wydawców. Drukują wszystko.

Na pozór tak. Ale trzeba znać stosunki wydawnicze nie od strony księgarni, lecz od strony biurek wydawniczych.

Zacznijmy od tego, czego jest najwięcej: wierszyki dla małych dzieci. To, owszem. Z tym jest najmniej trudności. Bo albo autor nieznany, wierszyki bez najmniejszej wartości — to wydaje się jakbądź, cieniuchne książeczki, nasadzone jaskrawymi i banalnymi obrazkami. Książeczka tania, może liczyć na publiczność bez smaku. Towar nie na jakość, ale na ilość. Duży obrót, mały zysk. Autor szczęśliwy, że choć parę groszy zarobił i że jest „drukowany“.

Jeżeli autor jest nieznany, lecz jego utwór wartościowy, tylko wydawnictwo poważne i bogate może jego książkę wydać starannie. Wtedy firma wydawnicza stanowi etykietę reklamową. Jako przykład przychodzi mi na myśl „Pieśń o wydrze“ Maykowskiego, wydana przez Wydawnictwo Imienia Ossolińskich. Każdy wie, że ta firma nie wypuści na rynek rzeczy bezwartościowej. „Śpiew o wydrze“ to jedna z „pereł“ poezji dla młodzieży — wydana bardzo pięknie.

Pozatym nazwiska znane i słusznie cenione: Porazińska, Krzemieniecka, Zarembina, Krzymuska, Januszewska. Poezja dla dzieci ich pióra stanowczo zasługuje na to, by najpoważniejszy krytyk uznał jej wartości. Szczególnie dwie ostatnie z wymienionych autorek wysoko podniosły poziom tego rodzaju literatury dla dzieci.

Oczywiście wydawcy to rozumieją. Ceny tych książek są wygórowane — ale nazwisko!

Podobnie wygląda sprawa baśni. Jest na półkach księgarskich straszna tandeta. Roi się od rozmaitych „baśni ludowych“, „bajeczek“, podłych przekładów bajek zagranicznych. Między nimi najwięcej tego, co najgorsze: „Grimmów“ w rozmaitych wydaniach. Ilustracje sensacyjne, makabryczne, dostosowane zresztą do treści. A obok fantazja szlachetna, zasługująca na miano literatury. Ze znanych nazwisk obcych autorów przede wszystkim Andersen. Z naszych, można wiele „pereł“ wymienić: „O Krasnoludkach i Sierotce Marysi“ Konopnickiej, „Bajka o Żelaznym Wilku“ Sieroszewskiego, „Bajka o Kosturku, Azie i Burku“ Homolacsa. Są to pozycje mocne i trwałe. Cały szereg wartościowych opowieści fantastycznych pióra Porazińskiej, Krzemienieckiej, Makuszyńskiego i wielu innych. Są to historie pełne poetyckiej fantazji, pozbawione makabrycznych momentów, piękne w formie i założeniu. Te właśnie utwory fantastyczne, przekreślając oczywiście tandetę, są o wiele bardziej wartościowe, niż baśnie innych narodów. Bo polska literatura fantastyczna pozbyła się zupełnie pierwiastków okropności i złych instynktów, a obejmuje głębię myśli i prawdziwą poezję. Trzeba sobie uświadomić, że nawet Andersen w niektórych swych baśniach był makabryczny, np. „Towarzysz podróży“. Najbardziej polska i najbardziej znana bajka „O Krasnoludkach“ Konopnickiej, na przestrzeni kilkuset stron niema ani cienia sadyzmu, czy niezdrowej fantazji. To samo „Wilk Żelazny“ Sieroszewskiego. I wiele tym podobnych dałoby się wymienić.

Powieści „z życia“ też nie można nazwać „zachwaszczonym śmietnikiem“, Oczywiście chwastów wiele, lecz są chwasty między kwiatami. Nie wiem, dlaczego Czachowski pominął całą twórczość dla młodzieży Marii Dąbrowskiej, Nowakowskiego, Makuszyńskiego i naprawdę wielu innych. Nie wyobrażam sobie, jak możnaby nazwać np. „Parzyjaźń“ Dąbrowskiej — grafomaństwem.

Może najmniej wartościowe, jeżeli chodzi o poziom artystyczny, są książki podróżnicze. Można im przyznać wiele przymiotów: są ciekawie pisane, pouczające i t. d. Jest kilka znanych nazwisk. Zresztą to samo, co w podróżniczej literaturze dla dorosłych. Nikt jej nie stawia za wielkich wymagań. Nie musi być dziełem sztuki. Wystarczy jeżeli jest poprawna i ciekawa. A jeżeli zaczniemy porównywać, to podróżnicza literatura dla dzieci zwycięży literaturę podróżniczą dla dorosłych. Zwycięży ją jedną pozycją: „W pustyni i w puszczy“ — Sienkiewicza. Książka ta przewyższyła napewno wszystkie inne w tym rodzaju, pisane dla małych i dużych czytelników. Bo poza opisami przygód, pogłębia inne zagadnienie: natury wewnętrznej.

Niewiele da się powiedzieć o powieściach historycznych. Mieliśmy dobrych autorów: Przyborowski, Domańska, Gruszecki i jeszcze kilku. Twórczość ich nie najnowsza, na dobrym poziomie. Obecnie ten dział literatury dziecinnej jest jakby przez autorów ignorowany. Książki historyczne są niewidoczne na półkach księgarskich.

Zastanowiwszy się tak ogólnie nad poziomem literackiej twórczości dla dzieci, dojdziemy do wniosku, że Czachowski miał słuszność tylko częściowo: jest w tej dziedzinie wiele tandety i grafomaństwa. Ale „pereł“ jest znacznie więcej, niż to Czachowski sugeruje. Jest ich jednak tyle, że stanowić one mogą wielki skarb dla naszej młodzieży.

W związku z tym możemy sobie życzyć, by jakiś krytyk zajął się opracowaniem „Obrazu Polskiej Literatury dla dzieci i młodzieży“. Wydaje mi się to równie ważne, jak całe szeregi tomów wielu znanych krytyków, omawiających „Polską twórczość literaoką“ dla ludzi dojrzałych.

**Maria Kędziorzyna**

# Sztuki, które nie schodzą z afisza

### STO PIĘĆDZIESIĄTE PRZEDSTAWIENIE „OBCYM WSTĘP WZBRONIONY“

Na czym polega tajemnica tak długotrwałego powodzenia reportażu scenicznego Heleny Buczyńskiej, jest dla mnie doprawdy zagadką. Moim zdaniem sztuka z wyjątkiem aktu pierwszego, tętniącego niefałszowanym „humorem“ życia okupacyjnego, jest nie do strawienia z powodu nadmiaru sentymentalizmu w pospolitym tego słowa znaczeniu, oraz nadmiaru patetycznych słów. Nie przeczę, że oddać wiernie i do tego w skrócie przeżycia z okresu okupacji niemieckiej, jest rzeczą bardzo trudną, ale skoro już ktoś się do tego zabrał, niech zrobi to dobrze. Nerw sceniczny, jaki Buczyńska niewątpliwie wykazała w akcie pierwszym, dając nam wycinek z prawdziwego życia warszawskich aktorów, prowadzących kawiarnię, w celu utrzymania się na powierzchni bez współpracy z Niemcami na polu artystycznym, kazał spodziewać się wiele po dalszym ciągu, tymczasem nerw ten utonął w patosie słów i gestów (nieistotnym właściwie dla okresu okupacji) aktu drugiego, oraz w banalności aktu trzeciego. Z punktu widzenia konstrukcji utworu akt trzeci, w którym autorka przeskakuje na chybcika do czasów powojennych, aby gwoli naiwnej banalności uporządkować zwichrzone wojną życie swoich bohaterów, jest pomyłką nie do przyjęcia. Z powodu tej pomyki tracimy całkowicie zaufanie do autorki, mimo woli uważając, że przejechała się ona po wszystkich zagadnieniach, nie pogłębiając ich dostatecznie. Ratuje nieco sytuację to, że Buczyńska nazwała swój utwór reportażem scenicznym, do którego nie potrzeba przykładać miary, jak do rzetelnej sztuki. Mimo żywego odtworzenia typów i mimo ładnych momentów, do których należy zaliczy np. scenę odejścia matki Maryny z „paczką“ konspiratora (scena przeciągnięta zresztą nieco), sztuka nie daje wrażeń artystycznych. Ważkość poruszonych problemów obniża niemal rewiowe zakończenie sztuki z piosenką o mojej Warszawie. Ryzykowne było wprowadzenie na scenę żandarmów niemieckich. Nie budzą oni przewidywanej grozy, lecz wzbudzają w nas uczucie śmieszności. Odnośna scena odegrana była co prawda wyjątkowo niedobrze. W roli żandarmów wystąpiły jakieś nieśmiałe, niedożywione widma (widać trudno było znaleźć kogoś lepszego, ktoby podjął się tej „hańbiącej“ roli). Ogólnie biorąc cały zespół artystyczny stoi na wysokości zadania. Na wyróżnienie zasługuje Helena Gruszecka — Hielcia„ Mieczysław Milecki w roli konspiratora, Jerzy Wassowski (dyrektor), Stefan Wroncki (Kałyszyn) i Mieczysław Borowy. pizodyczne role bardzo dobrze odtworzyli: Stanisława Kawińska (matka Maryny) i Józef Zejdowski (reżyser). Wprowadzenie do sztuki tej ostatniej postaci, raz tylko ukazującej się na scenie i nie odgrywającej właściwie w akcji żadnej roli, wydaje mi się wadliwe ze względów konstrukcyjnych.

### MACIERZYŃSTWO PANNY JADZI

Sztuka Wandy Jagienki Śliwiny, to zabawna historia o nieślubnym dziecku, które przez swoje przyjście na świat nie przyniosło matce żadnej zgryzoty na tle konfliktu z ustaloną moralnością, dzięki podejściu bohaterki do całej sprawy ze szczerością i pełną humoru odwagą. Nowoczesna panna Jadzia nie boi się opinii publicznej i z brawurą rzuca jej rękawicę, chcąc dowieść, że ma prawo do macierzyństwa, jeżeli go pragnie nawet w stanie panieńskim. Odwaga panny Jadzi jest tym większa, że środowisko, w którym panna Jadzia się obraca, jest nie tylko zacofane ,ale i obłudnie zakłamane, wobec czego walka z nim o prawa należne każdemu dziecku nie jest łatwa Bohaterka budzi w nas pełną sympatię swymi prostymi, szczerymi słowami: „Ja nie uciekam przed odpowiedzialnością za lekkomyślność młodzieńczą! Ja mam odwagę patrzeć ludziom w oczy, a mego chłopca kocham! Będę na niego pracowała! Tylko strach przed opinią, tylko uczucie szczutego zwierzęcia każe upaść choćby w ramiona zbrodni, byle ratować się przed sforą ludzkich języków“. W uporze wytrwania do ostatka w samodzielnym wychowaniu dziecka nie pozwala pannie Jadzi utrzymać się jedynie miłość do sprawcy całej awantury, z któ-

rym też panna Jadzia łączy się za staraniem jego ojca węzłem małżeńskim. I tu następuje epilog — najdowcipniejszy bodajże moment w całej sztuce. „Pani z widowni" (stara panna w okularach) obrzuca pannę Jadzię obelgami za niekonsekwencję, za „burżuazyjne" zakończenie konfliktu. Panna Jadzia wraz z całym zespołem długo się broni przeciwko napaści, przepraszając w końcu za miłość, która doprowadziła ją na utarte drogi małżeństwa. Ale co już najzabawniejsze, to udział w całym zamieszaniu „Pana z widowni", który broniąc sakramentalnego zakończenia w myśl zasad moralności, atakuje z kolei starą „zwariowaną" pannę.

Gra aktorów jest tak doskonała, że większość publiczności, przyglądającej się sztuce bez programu, bierze zapewne cały „incydent" dosłownie. Śmiało można powiedzieć, że ten — nie z pierwszej zresztą ręki — trick udał się p. Śliwinie. Cały zresztą pomysł ukazania drażliwej sprawy nieślubnych dzieci w innym świetle, niż to dotychczas czyniono, ukazania sprawy na wesoło, jest dodatni. Wanda Śliwina wykazała w swoje sztuce duże poczucie sceny, jak również poczucie humoru. Rażą może tylko momenty chwilami zbyt rewiowe, obniżające poziom sztuki. Poza tym reżyseria Heleny Buczyńskiej wypadła dobrze. Pochwała należy się również Buczyńskiej jako aktorce. Świetnie odtworzyła ona typ sklepiczarki, dla której „hańba" córki jest nie do zniesienia tylko do momentu, gdy z „hańby" tej mogą wypłynąć jakieś korzyści.

## Tygodniowy przegląd kulturalno-artystyczny

### KONCERT SYMFONICZNY W ROMIE

Staraniem Wydziału Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego w dn. 6 stycznia odbył się transmitowany przez Radio Pierwszy Popularny Koncert Muzyki i Pieśni Operowej w wykonaniu orkiestry symfonicznej pod dyrekcją Olgierda Straszyńskiego, z udziałem Aliny Bolechowskiej — śpiew. (Zapowiedziana w afiszach solistka — Zofia Komorowska nie mogła śpiewać z powodu niedyspozycji). Imprezą tą rozpoczęto cykl koncertów „dla szerokich mas" ,t. j. koncertów zmierzających do upowszechnienia sztuki. Program obejmował same utwory przystępne dla najbardziej nawet nieobeznanego z muzyką ogółu, a mianowicie: Uwertury do op. Hrabina i Halka Moniuszki, fragmenty muzyki baletowej z Hrabiny i Halki, fragment z opery Car Sałtan Rimskiego-Korsakowa, oraz arię z Halki „Gdyby rannym słonkiem", Dumkę z op. Verbum Nobile, arię Mimi z Cyganerii i arię z Madame Butterfley Pucciniego. Choć orkiestra nie stoi na wysokim poziomie, w grze jej pod dyrekcją Straszyńskiego wyczuwało się rzetelny wysiłek i staranność, a to jest już bardzo wiele, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę trudne warunki, w jakich orkiestra pracuje. Główne minusy orkiestry, to słabe smyczki i drzewo. Orkiestra gra przy tym zbyt ciężko, chwilami nie dość szybko reagując na ruchy dyrygenta, skutkiem czego wytwarzają się nierówności, uwidaczniające się zwłaszcza w akordach. Z powodu braku lekkości szczególnie blado wypadły fragmenty baletowe z Hrabiny. Ogólna czystość brzmienia orkiestry była poprawna. Solistka koncertu — Alina Bolechowska, ma ładny głos o szlachetnym brzmieniu, nie na tyle jednak duży, aby mogła występować w wielkich ariach i do tego w tak dużej i nieakustycznej sali, jak Roma. Głos śpiewaczki dobrze brzmiący przez Radio, ginął w połowie sali. Duża wina ciąży tu na dyrygencie, który znając możliwości głosowe solistki, nie stuszował akompaniamentu orkiestry. Bolechowska śpiewała w każdym razie czysto i muzykalnie, choć chwilami jakby bez temperamentu i wyrobienia technicznego. Sądzę, że źle się czuła w ariach przerastających jej możliwości.

Koncert poprzedził przemówieniem Dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki — Henryk Ładosz, podkreślając duże znaczenie zamierzonych koncertów w odbudowie stolicy, oraz tłumacząc nieprzemijającą wartość zamieszczonego w programie Moniuszki — piewcy muzyki polskiej. W przemówieniu swym Ładosz wspomniał o naszym marzeniu reaktywowania Filharmonii Warszawskiej w znaczeniu przedwojennym.

### BALET PARNELLA

Niezwykłe powodzenie, jakim cieszy się Balet Parnella po kolei w każdym z naszych miast, świadczy wymownie o tym, w jakim stopniu publiczność spragniona jest imprez czysto rozrywkowych, imprez, które nie wymagają wysiłku myślenia i pozbawione są pierwiastka dydaktycznego lub propagandowo-moralizatorskiego. Balet Parnella daje wrażenia przede wszystkim wizualne i te widać niosą wytchnienie szerszemu ogółowi. Choć jednak Parnell wraz z całym swoim zespołem, w skład którego wchodzą takie siły, jak: Glinkówna, Marynowska, Zizi Halama, Puchówna, Natalia Żukow, Kiliński, Borkowski i Maciaszczyk, stoi na wysokim poziomie technicznym, nie może niestety dać zadowolenia czysto artystycznego temu, kto szuka w tańcu czegoś więcej poza rozrywką wzrokową, dość przy tym jednostajną, jeśli chodzi o rodzaj tańca kultywowanego przez Parnella. Jego koncepcje taneczne niezawsze wydają mi się szczęśliwie pomyślane. Komponowanie np. tańców do muzyki Chopina jest pozbawione sensu, gdyż muzyka tego typu, jako aksolutna, nie potrzebuje pomocy z zewnątrz, aby do nas przemówić.

Wiążąc muzykę Chopina z określoną treścią („W parku" — mazurki e moll i D dur lub „Gniazdo bocianie" — walc a moll) obniża się wartość muzyki, która kryje w sobie daleko głębszy sens i sama w sobie ma daleko szerszy zakres działania artystycznego . Mimo całą grację, z jaką wykonano „W parku", Chopin przewróciłby się chyba w grobie, gdyby się dowiedział, że treścią jego mazurków e moll i D dur są zalety jakiegoś huzara z powabną panienką. Wyobrażam sobie, że muzykę absolutną można ostatecznie połączyć z czystym tańcem klasycznym, wyrażającym samo piękno formy, ale i tu chyba niebezpieczeństwo odarcia muzyki z jej istotnej treści emocjonalnej. Tańce Parnella o charakterze ludowym stoją na wyższym poziomie artystycznym. Samo ich założenie jest naturalniejsze, choć znowu strona muzyczna niejednokrotnie słaba. W każdym razie muzyka specjalnie dla tańca pomyślana i skomponowana — choćby najgorsza — nie mija się treściowo z formą taneczną, która jest przeważnie stylizacją prawdziwych tańców ludowych. Dobrze wypadł „Chłopski pojedynek" z Glinkówną, Kilińskim, Borkowskim i Maciaszczykiem — scena ludowa w groteskowym ujęciu i „Roztańczona baba". Trzeci rodzaj tańca, reprezentowany przez Balet Parnella, tańca, który możnaby określić mianem „bujdowatego", a który nosi nazwę obrazów symbolicznych, wypadł najsłabiej pod względem pomysłowości choreograficznej. Zwłaszcza nudne było „Kuszne.e szatana", z niewiadomych dla mnie względów tak gorąco oklaskiwane przez publiczność. Na zakończenie pragnę dodać, że Balet Parnella zgotował warszawskiej publiczności pewne rozczarowanie: — primo przez brak dekoracyj, secundo przez umieszczenie w programie „numerów" znanych już wszystkim od wielu lat (Umarł Maciek, umarł..., Praca i zmysły, Chłopski pojedynek),

### WIECZÓR LITERACKI

Środę literacką dnia 9 stycznia wypełnił Antoni Madej, pisarz wywodzący się z grupy poetów lubelskich. Madej odczytał kilkanaście wierszy o charakterze filozoficzno - religijnym z napisanego jeszcze przed wojną zbiorku p. t. „Przystań bożego oka", między innymi cykl wierszy „Ojcze nasz". Następnie Madej zapoznał nas z dwoma fragmentami swojej powieści współczesnej „Ziemia woła", w której zajmuje się również zagadnieniami filozoficzno - religijnymi. Fragment pierwszy, zatytułowany „Synostwo Boże", to rozmowa brzemiennej kobiety z mężem, obdarzonym twórczą umiejętnością analizy. Autor roztacza w tym fragmencie swą filozofię, która uzależnia wielkość naszego Narodu, a może i całej ludzkości od problemu synostwa bożego, boskości w człowieku. Problem ten łączy się z problemem spełnionego chrześcijaństwa, o którym mówi Cieszkowski. Fragment drugi — „Dar Nauczania" obraca się cały w sferze abstrakcji. I uważam ten fragment za naturalniejszy, wydaje mi się bowiem, że jest rzeczą sztuczną tworzenie akcji dla wypowiedzenia tez filozoficzno - religijnych. O ile mogłam się zorientować z 2-ch tylko fragmentów odczytanych przez Madeja, jego tezy powinny być raczej podane w traktacie filozoficznym, a nie w formie powieści, która może się czytelnikowi wydać sztuczna i pełna patosu. Sądzę, że Madej może liczyć tylko na wybranych czytelników i dlatego też wabienie ich formą powieści jest zbędne. Wyrażenia takie, jak' dlatego, bo, lub przyzwoleństwo rażą w zestawieniu z całością, utrzymaną w stylu biblijno-kaznodziejskim.

**Wanda Bacewiczówna**

## „Gody"

### O GWIEŹDZIE W POPIOŁACH

Cechą specyficzną naszego obecnego życia kulturalnego jest swojego rodzaju artystyczny kociokwik. I tak w Warszawie obok wspaniałych występów Teatrów W. P., który „Fantazym" podbił warszawską publiczność, mieliśmy gościnne występy Państwowego Cyrku Nr 1, oraz premierę „Macierzyństwa Panny Jadzi" (oby tylko nie trwało ono dziewięć miesięcy ,a na to się zanosi). Jeszcze Przybosia „Miejsce na Ziemi" kryła czeluść drukarni „Czytelnika", gdy na wystawach sklepowych wszechwładnie królowała p. Xenia Żytomirska ze swoim „Janem i Małgorzatą". Świadczy to w każdym razie o pewnej, jeśli nie nieudolności, to haotyczności w polityce kulturalnej na gruncie warszawskim. Nie tylko zresztą warszawskim. Symptomaty tej choroby są powszechne. Jasnym jest, iż troską zasadniczą naszych tendencji kulturalnych musi być przezwyciężenie tego rodzaju łatwizn. Po barbaryzacji „czasów pogardy" musimy publiczność dopiero sobie wychować, przy czym w założeniu musimy przyjąć, iż sami pewnym warunom odpowiadamy. Niestety, przytoczone wyżej fakty nie zdają się nastrająć nas optymistycznie.

Trzeba przekreślić pojęcie „kasowości" i taniego, pozornego efektu. Są to przecież rzeczy zbyt poważne(, aby zbyć je stereotypowym ostatnio zasłanianiem się brakiem środków materialnych. Wierzymy, iż po wspaniałym zrywie „Czytelnika", przyjdzie kolej na poprawę i gdzie indziej.

Spoglądamy tym bardziej pełni otuchy, gdyż właśnie wśród tych, o których najwięcej chodzi, wśród młodych, są pierwsze śmiałe próby pójścia pod prąd. Konkret zasadniczy a radosny, to popis Warszawskiej Miejskiej Szkoły Dramatycznej p. t. „Gody", odbyty w dniu 6.1 1946 r. w sali „Romy".

Nie chodzi nam w tym momencie o zasadniczy, artystyczny wyraz, który znalazł swoje odzwierciadlenie w sposób przynoszący zaszczyt pracy dyr. Janusza Strachockiego i jego zespołu. Rzecz radosna, a zarazem krzepiąca, to przewodni motyw ideowy pracy szkoły, skreślonej na wstępie przez p. Jerzego Kersta.

Właśnie dzisiaj, gdy pojęcia humanizmu i humanizacji stały się pojęciami utartymi, jasne, konsekwentne, a odważne formułowanie genezy i linii rozwojowych humanizmu, silny głos, wołający o humanizację społeczności ludzkiej w myśl ideałów, zrodzonych w Świętą Noc. Są to rzeczy, nad którymi nie można przejść do porządku dziennego.

Jerzy Kierst, wskazując na źródła siły i mocy, zrodzone w Betleem, każe nam szukać gwiazdy przewodniej w popiołach i ruinach.

Ona przecież tylko może ocalić ciągle jeszcze wrzący świat, który bez wielkiej idei, ogarniającej całość procesów kulturalnych, cywilizacyjnych, nie zdoła regenerować się po straszliwych ciosach, wyrządzonych postawie moralnej i konstrukcji fizycznej ludzkości przez faszyzm. Dobrze się stało, iż na jedynej tradycyjnej imprezie świątecznej zapanował tak piękny humanistyczny duch, który nazajutrz o świcie, w imię miłości bliźniego, każe nam budować lepsze jutro.

Dobrze się stało, stąd chwała i dank dyr. Januszowi Strachockiemu i gronu jego współpracowników, iż poszedł pod prąd i nie stanął na drodze taniego efektu i łatwej pozy. Stąd też rodzi się poczucie otuchy i wiary w dobre jutro polskiego aktorstwa.

Poważny a szlachetny profil pierwszej części, gdzie słyszeliśmy tak dziś zapomnianych Norwida i Liberta, żartobliwy, chwilami rubaszny humor drugiej części, wszystko to świadczy o dobrym smaku artystycznym kierownictwa. Dyr. Strachocki stanął na scenie ramię w ramię ze swoimi wychowankami i razem poszedł do szturmu.

O tym, iż zdobył naogół chłodnych warszawiaków, świadczył gorący a żywy aplauz sali.

Przechodząc do oceny artystycznych wartości imprezy, należy stwierdzić niewątpliwą, poważną kulturę aktorską wśród młodego pokolenia. Po pierwszych momentach młodzieńczej, widocznej tremy, młodzi pozostawili w całości wrażenie, nad którym nie można przejść do porządku dziennego.

Jeśli chodzi o poszczególnych młodych adeptów, to u płci pięknej na wyróżnienie zasługują: pełna ekspresji Alicja Ursyn-Szantyr, posiadająca ciekawe akcenty dramatyczne Iwona Popielarczykówna, oraz jasna skala głosu Barbary Stępniakówny, melodyjnie i z dużą kulturą recytującej Liberta.

Wród mężczyzn Czesław Byczewski, doskonały wojewoda w „Wigilii" Piotra Choynowskiego oraz Zbigniew Niewczas, odważnie rozprawiający się z karkołomniami „Piątej Ewangelii" W. Bąka.

Reasumując: impreza jedyna, ale przynosząca i nam i ogółowi słuchaczów widoczną satysfakcję. Pod adresem kierownictwa Szkoły możemy rzucić tylko jedno wyzwanie:

Czekamy na więcej! **J. Ch. P.**

## Nadesłano:

Od Rektora Uniwersytetu Poznańskiego otrzymaliśmy następujące pismo:

Do
Prezydenta Krajowej Rady Narodowej
Ob. Bieruta.

W czasie dyskusji po otwarciu IX sesji K. R. N. jej członek Ob. Jan Izydorczyk (P. P. R.) w swym przemówieniu, podanym przez prasę stołeczną, przytoczył fakty niezgodne z prawdą.

„W Poznaniu, według niego, odbył się nielegalny zjazd studentów. Zjazd złożył przysięgę, że będzie walczył z Rządem Jedności Narodowej i ze Związkiem Radzieckim. Zjazdowi patronował rektor Uniwersytetu Poznańskiego prof. St. Dąbrowski, przyjęty do P. S. L. już po zjeździe". (Sprawozdanie z obrad K. R. N. w numerze 339 „Życia Warszawskiego").

Mimo, że nie mam pod ręką stenogramu, stwierdzam niniejszym, co następuje:

W dniach od 15—18 listopada odbył się w Poznaniu ogólnopolski zjazd duszpasterzy i przedstawicieli komitetów akademickich ślubowań jasnogórskich, które podlegają miejscowym biskupom.

Nieprawdą jest, aby zjazd składał przysięgę, że będzie walczył z Rządem Jedności Narodowej i ze Związkiem Radzieckim. Prawdą jest natomiast, że ślubowania młodzież złożyła w postaci „Modlitwy o panowanie Chrystusa nad Polską".

Nieprawdą jest, jakobym był patronem zjazdu, do czego nie miałem tytułu, natomiast zaproszony jako prelegent — na zjeździe powyższym wygłosił odczyt p. t. „Rozważania nad stanami równowagi w zjawiskach przyrodniczych i w układach społecznych w okresie wojen totalnych".

Odczyt ten był przystępnym rozwinięciem wykładu, jaki miałem, jako członek Akademii Umiejętności w lipcu ubiegłego roku na sekcji socjologicznej pod przewodnictwem prof. dra Franciszka Bujaka. Praca ta ukaże się wkrótce drukiem.

Do stronnictwa P. S. L. nie wstąpiłem ani przed, ani po zjeździe, jakkolwiek mam wysoki szacunek dla jego obecnych kierowników i wykonawców politycznych wskazań ś. p. Prezesa Wincentego Witosa, z którym łączyły mnie w życiu parlamentarnym stosunki osobiste i uznanie dla jego patriotyzmu, głębokiego rozumu politycznego i wielkiego talentu taktycznego.

Ponieważ zarzuty ob. Izydorczyka opierają się wyłącznie na fałszywych danych, przeto uprzejmie proszę ob. Prezydenta, jako Kierownika Obrad K. R. N., aby zechciał z trybuny podać moje sprostowanie, a to w interesie zarówno objektywizmu, jak i poziomu dyskusji Wysokiego Zgromadzenia, która nie powinna zbaczać na manowce nieprawdy.

Tekst ślubowania załączam.

(—) **Prof. Dr. St. Dąbrowski**
Rektor Uniwersytetu Poznańskiego.

**Ze względu na wysokie koszty, związane z przesyłaniem pieniędzy przekazami pocztowymi, prosimy naszych prenumeratorów o wpłacanie prenumerat na nasze konto P.K.O. I 727.**

**Na żądanie przesyłamy blankiety PKO.**

## ZYCIE GOSPODARCZE

# Międzynarodowa Kronika Gospodarcza

**Jeszcze o Waszyngtonie**. W poprzednim numerze przytoczyliśmy opinię „The Economist" na temat warunków pożyczki, jaką Anglia otrzymała od U. S. A. („Niewdzięczny Albion").

Następny numer „The Economist" w dalszym ciągu omawia ten sam temat. Podkreśliwszy paradoks, tkwiący w tym, że kraj, który wskutek wojny stracił jedną czwartą część swego majątku narodowego (Anglia), będzie musiał w konsekwencji poniesionych ofiar ponosić dalsze w postaci płacenia jeszcze przez pół stulecia rocznego haraczu w kwocie 140 milionów dolarów na korzyść kraju, który na wojnie się wzbogacił (Ameryka), pismo przyznaje jednak, że kredyt jest poważny, oprocentowanie, w porównaniu z dawniejszymi kredytami, umiarkowane a ustalenie należności z tytułu „lend — lease" na 650.000.000 dolarów, t. zn. na 1/40 wartości niespłaconych przez Anglię dostaw (25 miliardów dolarów) odważnym gestem ze strony amerykańskich negocjatorów. Niemniej zasadnicza postawa wobec amerykańskiego wierzyciela, opisana wyżej, pozostaje bez zmiany.

Rozważania skupiają się dokoła najbardziej dla Anglii aktualnego pytania: skąd zdobyć pokrycie na spłacanie pożyczki? Oddawna przyjęto za pewnik, że po obecnej wojnie eksport angielski musi wzróść o 50% ponad stan z 1938 r. Jeśli jednak uwzględnić dodatkowe ciężary finansowe z racji kredytu amerykańskiego, to ten wzrost eksoprtu musi sięgnąć do 75%. Zważywszy, że w 1938 r. eksport Zjednoczonego Królestwa reprezentował 10% całego eksportu światowego, przeto ten odsetek musiałby się zwiększyć na 17,5%. Ponieważ jednak przed wojną wyroby przemysłowe stanowiły prawie 3/4 angielskiego eksportu, a w światowym eksporcie wyrobów przemysłowych przypadało na Anglię 19%, przeto, aby powiększyć swój eksport ogólny o 75%, musiałaby Anglia swój eksport przemysłowy zwiększyć o prawie 100%, czyli innymi słowy opanować ogółem 40% światowych rynków zbytu dla tej najważniejszej kategorii wywozu. Aby dokonać podboju gospodarczego tych rozmiarów, trzeba przed rozpoczęciem kampanii nagromadzić w arsenałach wszelkie możliwe środki walki.

Najpotężniejszą bronią w ręku Anglii, odbiorcy, o którego względy warto się ubiegać, jest groźba zamknięcia dostępu do swego rynku wewnętrznego, bądź też uzależnienie tego dostępu od spełnienia przez drugiego kontrahenta szeregu warunków. Arsenał tych środków jest znany: układy preferencyjne, subsydia, kwoty importowe, zablokowane konta, kontrola dewizowa. Mogą one służyć zarówno do jednostronnej presji, jak i uzasadnionej obrony. Anglia mogłaby z nich zrezygnować wzamian za ułatwienie sytuacji finansowej, np. w formie wielkiej, nieodpłatnej subwencji dolarowej. Tymczasem stało się naodwrót: nałożono na nią dodatkowe ciężary finansowe, a zarazem zażądano rezygnacji z szeregu atutów, przedstawiających wielką wagę w międzynarodowych pertraktacjach handlowych i to rezygnacji natychmiastowej, bez uwzględnienia okresu przejściowego między dotychczasowym systemem związanej wymiany handlowej, a przyszłym, zasadniczo wolnej wymiany.

Można konia popędzać, jeśli mu się ujmie ciężaru, tymczasem dorzucono mu worków na wóz, a równocześnie dołożono bata i to właśnie, gdy droga staje się coraz bardziej stroma.

Niedość jednak, że Ameryka wymusiła na swym konkurencie rezygnację z preferencyj w wymianie handlowej, nie oddając mu zarazem do dyspozycji takich zasobów dolarowych, któreby pozwoliły na pokrycie zwiększonych potrzeb importowych bez powiększania nie-

doboru w bilansie płatniczym: sama zasada „równych praw dla wszystkich“, na której odtąd ma się opierać handel międzynarodowy, jest również nader jednostronnie potraktowana.

Stanowi ona treść załącznika do umowy pożyczkowej, zawierającego propozycje, z jakimi Anglia i Ameryka mają wspólnie wystąpić na Międzynarodowej Konferencji Handlowej, która się zbierze w połowie roku celem ustalenia najskuteczniejszych sposobów wzrostu obrotów i zatrudnienia. „Dyskryminacje“ w traktowaniu poszczególnych partnerów są zabronione. Tak więc nie będzie można zakupić ryczałtem całej produkcji jakiegoś państwa w określonej dziedzinie, np. Anglia nie będzie mogła nabyć całej wełny australijskiej. Tym samym jednak odpada możliwość planowego kontynuowania polityki pełnego zatrudnienia także w skali międzynarodowej przez wzajemną gwarancję stałego zbytu produktów po stałych cenach. Z drugiej strony bardzo miękko wypadły postanowienia na temat obniżki ceł i zniesienia subwencyj, przede wszystkim zaś usunięcia dyskryminacyj w tych dziedzinach, w których Amerykanie najbardziej otwarcie je stosują, mianowicie kredytu (dłużnik jest zobowiązany zużyć przeważną część kredytu na zakup towarów amerykańskich), żeglugi i wreszcie imigracji. Niepodobna zaś liczyć na zliberalizowanie wymiany międzynarodowej, jeśli największy wierzyciel świata nie zgodzi się zarazem na objęcie roli największego importera światowego.

„Economist“ kończy swe rozważania zwrotem, który w ustach Anglika brzmi dość osobliwie: „Żebracy nie mogą przebierać, ale zgodnie ze starodawną tradycją mogą rzucić przekleństwo na zachłanność bogaczów“. **K.**

# SZEROKI HORYZONT

## WOJENKO, WOJENKO...

Słynny amerykański rzeczoznawca wojskowy, Hanson Baldwin, roztacza przed nami ponętny obraz przyszłej wojny.

Jego zdaniem, czasy planowej mobilizacji, milionowych armii, olbrzymich okrętów wojennych, potężnych flot bombowców i innych przestarzałych systemów zabijania, są już bezpowrotnie za nami. Hanson Balwin jest zdania, że odtąd wszystkie konflikty zbrojne będą rozstrzygane w laboratoriach uczonych, których wynalazki będą mogły nawet potencjonalnie, samą tylko groźbą użycia jakiejś nowej broni, zmusić przeciwnika do kapitulacji.

W rozważaniach swych, które jakoś niezbyt szczęśliwie zbiegły się z konferencją w Londynie, nasz komentator idzie nawet dalej, uważając, że przyszły konflikt zbrojny będzie rozgrywany „naciśnięciem guzika“, to znaczy, że mamy przed sobą konflikt automatów. Naloty bombowe będą — według Baldwina — dokonywane przez samoloty rakietowe bez pilotów, które obrzucać będą przeciwnika bombami atomowymi, dla złamania wszelkiej aktywności zaplecza. Wogóle będzie to raczej wojna zapleczy wojujących krajów, obliczona na najszybsze przerwanie masowej produkcji wojennej przeciwnika.

Po tych „pierwszych jaskółkach“ wojny, które mają zresztą w pełni wykorzystywać moment zaskoczenia, uderzyć ma na wroga druga fala kierowanych przez radio latających bomb, które również atakować będą miasta przeciwnika. Mają one przygotować grunt do lądowania małych, ale świetnie uzbrojonych i wyćwiczonych armij zawodowych, które zostaną zrzucone na spadochronach, względnie przybędą na holowanych szybowcach. Zadaniem tych wojsk ma być przede wszystkim stłumienie zorganizowanego oporu, oraz zmuszenie obywateli wrogiego kraju do wyjścia z głębokich schronów, w jakich niezawodnie będą siedzieć, dla uniknięcia bliższej styczności z nowymi wynalazkami wojennymi. Dalej, te armie desantowe mają przeprowadzić okupację podbitego kraju.

Hanson Baldwin dużą uwagę poświęca również przyszłej wojnie podwodnej, twierdząc, że tylko koniec wojny nie pozwolił Niemcom na zastosowanie nowej łodzi podwodnej, która mogła płynąć całkowicie zanurzona w ciągu kilku tygodni bez przerwy, osiągając przy tym olbrzymią szybkość podwodną 21 węzłów.

Rzeczoznawca amerykański wzywa władze wosjkowe Stanów Zjednoczonych do należytego zrozumienia faktu, że nowa doktryna wojenna wymaga zupełnego zarzucenia dawnych pojęć o wojnie. Ponieważ — według niego — ofenzywa ma olbrzymie plusy nad defenzywą, więc też armia, marynarka i lotnictwo muszą być stale „zapięte na ostatni guzik“ i wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt dla uderzenia zawsze o pół godziny wcześniej od przeciwnika.

Wywody swe kończy Hanson Baldwin zdaniem, że wszystkie te przygotowania są „wielką pracą dla wielkich umysłów“.

A więc ledwieśmy trochę odsapnęli, już znowu widzimy przygotowania do zbrojnego pokoju, znowu odzywa się zasada zbrojenia się dla zabezpieczenia pokoju.

Wielkie umysły powinny zająć się raczej inną, bardziej produktywną pracą — jak odziać, nakarmić i ogrzać zrujnowany wojną świat!

## PRZYPOMNIENIE NA CZASIE

Dla odmiany nie skorzystamy dziś z bieżącego materiału prasowego, przy opracowywaniu tej wzmianki. Czynimy to rozmyślnie, gdyż nie zawsze aktualność posiada tylko to, co jest nowe. Chcielibyśmy mianowicie przytoczyć naszym Czytelnikom pewne obwieszczenie, które ukazało się dnia 27 października 1939 w toruńskiej gazecie „Thorner Freiheit“, która to nazwa — Niemcy lubili cynizm — znaczy: toruńska wolność. Warto przypomnieć, jak też owa toruńska wolność wyglądała, specjalnie będzie to ciekawe dziś, kiedy niektórzy panowie wzdychają mniej czy więcej jawnie nad losem biednych, niewinnych Niemców, gnębionych przez okrutnych Polaków. Obwieszczenie to zostało opublikowane w dwóch językach i my specjalnie skorzystamy z polskiego tekstu, by nikt nie mógł nam zarzucić przejaskrawiania pewnych wyrażeń w tłumaczeniu. A oto tekst:

Obwieszczenie.

Ażeby bezczelnemu zachowywaniu się pewnej części ludności polskiej zapobiec, zarządzam co następuje:

1. Obywatele polscy obojga płci mają obowiązek przed reprezentantami władzy niemieckiej — jak dalece ci ostatni rozpoznawalni są przez mundur czy opaskę na ręku — ustępować z drogi. Ulica należy do zwycięzców, a nie dozwyciężonych.

2. Obywatele polscy płci męskiej mają obowiązek kłaniania się przez zdejmowanie nakrycia głowy wszystkim przewodzącym osobistościom Państwa, Partii i Sił Zbrojnych.

3. Niemieckie pozdrowienie przez podniesienie ręki i pozdrowienie „Heil Hitler“, jest Polakom wzbronione.

4. W składach i na targach obsługiwani być najpierw muszą przedstawiciele władzy niemieckiej, członkowie ich rodzin i wszyscy obywatele niemieccy; po nich dopiero — zwyciężeni.

5. Noszenie polskich mundurów szkolnych, czapek z odznakami i t. d., jak również noszenie przez polskich urzędników kolejowych i pocztowych polskich odznak państwowych jest wzbronione.

6. Zakazuje się — szczególnie młodocianym — gromadzenia się na ulicach i na skrzyżowaniach ulic.

7. Kto niemieckie kobiety i dziewczęta napastuje i zaczepia, będzie przykładnie ukarany.

8. Polskie kobiety, zaczepiające lub napastujące Niemców, będą doprowadzane do domów publicznych.

9. Wszelkie wozy i rowery muszą być z nastaniem ciemności zaopatrzone w lampki i czerwone światła końcowe. Nie przestrzegający tego będą karani, a rower rekwirowany. Aż do czasu założenia światła, należy od nastania ciemności pojazdy lub rower prowadzić.

10. Wskazówki Nationalsozialistisches Kraftfahrerkorps (Verkehrs - Hilfspolizei), muszą być bezwzględnie przestrzegane.

Porządek ruchu będzie w najbliższym czasie ogłoszony.

Ci Polacy, którzy jeszcze nie zrozumieli, że są zwyciężonymi — a zwycięzcami my, i którzy przeciwdziałać będą powyższym rozporządzeniom, podlegają najsurowszym ukaraniu.

Thorn, dnia 27 października 1939

Der staatliche Polizeiverwalter

(—) Weberstedt.

Kiedy się czyta teraz takie rozporządzenia i kiedy patrzy się, jak tanią cenę ci ówcześni „zwycięzcy“ zapłacili za swe „ustawy“, człowiek uświadamia sobie w pełni, że my, Polacy, mamy jednak bardzo krótką pamięć...

## ANKIETA

Zwracam się do Wielce Szanownych byłych więźniów politycznych z okupacji niemieckiej z uprzejmą i gorącą prośbą o pomoc w pracy naukowej przez mniej lub więcej obszerną odpowiedź na pytanie niżej umieszczone. Cel ankiety wymaga, żeby na początku wyszczególnić: 1) płeć, 2) wiek, 3) zawód, 4) gdzie i jak długo przebywało się w więzieniu lub obozie, przy czym wystarczy podać miesiące i lata. Nazwiska nie ujawniać. Z doświadczeń obozowych zwrócić uwagę także na wewnętrzne, duchowe przeżycia, na dokonujące się w duszy procesy. Za każdą odpowiedź będę szczerze wdzięczny i użyję jej wyłącznie do celów naukowych. Gwarancją dyskrecji i taktu niech będzie to, że sam doznałem, czym jest obóz i więzienie. Pytania są następujące:

1) Co najwięcej w obozie i więzieniu trzymało?

2) Co mnie tam najwięcej bolało i dręczyło?

3) Czy tam odczułem dla kogoś głębszy szacunek i dlaczego?

4) Czy poza zajęciami przymusowymi i wbrew zakazom robiłem coś lub działałem z własnej inicjatywy albo w porozumieniu z towarzyszami?

5) Czy w tym czasie pogłębiłem lub zmieniłem pogląd na jakieś ważne zagadnienie życia?

Łaskawą odpowiedź proszę wysłać pod moim adresem:

**Ks. Konstanty Michalski,**
Prof. Uniw. Jag.
Kraków, Stradom .

## PAMIĄTKI, KTÓRE ZOSTANĄ W EUROPIE

Amerykańskie władze policyjne stwierdziły ostatnio, że wielu z ujętych na gorącym uczynku gangsterów, posiadało przy sobie broń niemieckiego pochodzenia. Początkowo dopatrywano się w tym jakiejś nowej akcji Piątej Kolumny, wszono zorganizowany terror, ale rzeczywistość okazała się bardziej prozaiczna.

W Niemczech przebywa mianowicie wielu amerykańskich żołnierzy wojsk okupacyjnych, którzy wysyłają do domów paczki. Stwierdzono, że w paczkach tych wysyłana jest niejednokrotnie broń, specjalnie niemieckie pistolety automatyczne, które poodbierano Wehrmachtowi w licznych bitwach. Zaczęto szukać wyjścia z tej sprawy, ponieważ otwieranie każdej paczki, jaką żołnierze wysyłają za ocean, byłoby przedsięwzięciem bardzo skomplikowanym i wymagającym wielkiego nakładu pracy.

W odsieczy przyszła nowoczesna wiedza: w brytyjskim porcie Southampton, który jest punktem załadowania poczty dla Stanów Zjednoczonych, zainstalowano fluoroskop, którym prześwietlane są wszystkie przesyłki. Rezultaty były już w pierwszych dniach zdumiewające — bronią wykrytą w ten sposób, możnaby było uzbroić spory oddział wojska. Przy okazji dobrano się też do skóry wszelkiego rodzaju przemytowi. Poczęto na przykład, prześwietlać paczki pewnego podoficera, który nadawał spore skrzynki do domu prawie że codziennie. Okazało się, że ten systematyczny człowiek wysyłał do Ameryki cały gabinet dentystyczny w częściach, zamierzając po zdemobilizowaniu rozpocząć praktykę dentystyczną w pewnym małym miasteczku w Kalifornii. Fotel dentystyczny pcpłynąć miał z Frankfurtu nad Menem za ocean rozebrany na 18 kawałków. Wiertarka została rozdzielona na 6 paczek, a narzędzia pojechały posortowane według wagi.

Okazuje się, że szaber ma swych wyznawców nie tylko u nas.

## PAN KAPITAN SAM TO WIDZIAŁ.

Między prasą a czytelnikami w Anglii istnieje zawsze żywa wymiana zdań, za pośrednictwem listów, które piszą ci ostatni do redakcji swych ulubionych czasopism.

Lektura tych listów, publikowanych z reguły na łamach prasy, bez względu na wyrażane przez nie zdanie, jest bardzo ciekawa i pozwala na zanotowanie niektórych drgań na barometrze opinii publicznej.

Warto naprzykład przytoczyć zamieszczony w ostatnim „Picture Post“ list kapitana Ernesta Forda (Uxbridge Road, Feltham, Middx) na temat „głodujących Niemiec“, tak szeroko omawiany ostatnio na Zachodzie.

„We wrześniu powróciłem z Niemiec, gdzie w trakcie mej podróży, wiodącej z Mortsel w Belgii do Stohl koło Kilonii, miałem możność ujrzenia wielu dużych miast niemieckich. Nigdzie nie widziałem jakichkolwiek oznak głodowania. Stacjonując w Stohl przez trzy miesiące, zaobserwowałem, że okolica jest obszarem rolnym i każdy szmat ziemi jest zagospodarowany. Żniwa były zupełnie udane. Nie widziałem nigdzie ziemistej cery, ani jakichkolwiek przejawów głodu. Natomiast oglądałem i byłem przerażony wyglądem niektórych z naszych własnych, angielskich dzieci.

Wzywam Was do wydrukowania tego listu nad mym podpisem...“.

Tak, są pewne sprawy, na które mają wyrobione zdanie ci, którzy są najbardziej kompetentni, bo zapoznali się z nimi z bliska. Przez sześć lat Niemcy jedli do syta kosztem innych. Przez sześć lat Europa niedojadała z winy tych bandytów. Warto zastanowić się nad tym teraz, kiedy dużo mówi się o litości dla tych, którzy jej nigdy nie mieli.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

**P. Al. Ścibor - Rylski, Gdańsk.** — Wiersz wykorzystamy. „Niby-nowelka“ jeszcze nie do druku. Zbytni pośpiech i niepotrzebne skróty. Prosimy o przerobienie. Niech to ma charakter rzetelnej pracy literackiej. Problem Mroczka stanowczo niepogłębiony. Oceniamy, mimo, że nie podejmujemy się ocen nadsyłanych prac. Zachęcamy do dalszych, bardziej pogłębionych, prób. Czekamy na rezultaty.

**P. Marek D., Szczebrzeszyn.** — Z artykułu nie skorzystamy. Prosimy o prace stanowczo krótsze, bardziej zwięzłe, poświęcone jednemu zagadnieniu, bez rozbijania go na szereg równoplanowych podpunktów.

**P. S. Este, Nowy Sącz.** — Niestety, zawiód łsię Pan na nas. Listu nie możemy zamieścić. Sprawy, poruszone przez Pana, są stałym tematem naszych rozważań i naszych pragnień, aby w stosunkach politycznych panowała owa „rycerskość“ ,o której Pan pisze, i więcej — aby panowało w nich tylko i wyłącznie zrozumienie dobra narodu i państwa.

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Bieńkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.
Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr I—727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.
Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.
Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.
Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia“ Widok 24. B-04724 Odbito w Drukarni „Czytelnik“ Nr. 2. Marszałkowska 3-5.